Nr. 6 (1102). Warszawa, dnia 26 Stycznia (8 Lutego) 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowic prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

POŚREDNICTWO HOLANDYI.

Dwa tygodnie temu p. Kuyper, prezes ministów holenderskich, zawitał tajemniczo do Londynu. Zaraz dzienniki zaczęły snuć domysły, które ostatecznie zbiegły się w jeden punkt stały — pośrednictwa podejmowanego przez Holandyę w wojnie Anglii z Boerami. Rokowania, naprzód ustne, weszły wkrótce na papier. Ustnie zapytał najpierw sternik polityki holenderskiej, czy rząd angielski pozwoli na rokowania piśmienne, a gdy otrzymał pozwolenie, wystosował notę. Wszystko to okrywała tajemnica, której jednak ani sama rzeczywistość stosunków między stronami wojującemi, ani pokrewieństwo jednej z nich z Holandyą uszanować nie myślały. Sprawa stała się tak przejrzystą, że p. Balfour, główny przedstawiciel rządu w Izbie niższej, musiał przyznać istnienie jakiejś inicyatywy przez rząd holenderski podjętej. Na obie strony padła zaraz trwoga, rzeczywista czy udana, do gry dyplomatycznej potrzebna. Dzienniki angielskie zaczęły się lękać pokoju, który miał im wydrzeć bliski tryumf doskonałego powalenia wroga pod pazury leoparda angielskiego; t. zw. misya Boerów w Europie, z Krügerem na czele, wyparła się wszelkiego początkowania, twierdząc, że Boerowie nie myślą o pokoju, gdyż chcą bić się do upadłego, póki nie wywalczą sobie niepodległości. Rząd angielski dla uchronienia się od podejrzeń wydał właśnie podczas rokowań rozkaz uruchomienia 9 batalionów milicyi; Boerowie w swoich organach *Nederland* i *Petit Bleu* oświadczyli, że nie oni pierwsi zawiązali rokowania, a cokolwiek się stanie, nie stanie się nic takiego, coby mogło zagłuszyć hasło niepodległości ojczyzny, teraz już dla Transwalu i Oranii wspólnej.

Przesada dziennikarska sprawiła, że wiara w przychylanie się Anglii ku pokojowi, nabrała na kilka dni mocy domniemania poważnego, opartego na istotnym zamiarze zakończenia wojny. Przypuszczano, że rząd angielski sam mógł wyzwać Holandyę do pośrednictwa, które znowu było wrzekomo skutkiem wybadania gruntu w owej misyi dyplomatycznej Boerów. Nawet oświadczenie ze strony rządu angielskiego, że Holandya nie ma pełnomocnictwa, wzruszające drugi punkt powyższego przypuszczenia, stwierdziło tem silniej pierwszy. A gdy jeszcze telegram z Paryża doniósł, że p. Delcasse ofiarował rządowi holenderskiemu swe usługi, dla poparcia jego działań — istotnie poważne nawet umysły mogły przewidywać bliskie już zawiązanie poważnych też rokowań o pokój. Jednoczesne narady w Waszyngtonie między tamtejszym posłem holenderskim a sekretarzem stanu, kierującym polityką zagraniczną, wspierały jeszcze bardziej to przewidywanie. Ale na tym najlepszym ze światów rozczarowanie nie dało na siebie długo czekać. D. 4 b. m. oba rządy ogłosiły treść wymienionych między sobą not. Ktokolwiek tę treść rozważy, ten ani chwili wątpić nie może o charakterze dotychczasowej roli rządu holenderskiego, ani też o wartości tego usposobienia Anglii do pokoju, którego musiano się domyślać, widząc ją zawiązującą już układy z pośrednikiem, niejako z bratem rodzonym wroga.

Korespondencya jest jasną. Holandya, nie powołując się wcale na wspólność krwi, wprost tylko z pobudek ludzkości, zapytuje Anglię, czyby można podjąć starania o zakończenie wojny. A ta ludzkość nawet występuje tu trwożliwie: zasłania się tem, że przy odcięciu misyi dyplomatycznej w Europie od widowni wojennej bez pośrednictwa Boerowie sami niczegoby podjąć nie zdołali. Rząd angielski mógłby dać glejty bezpieczeństwa, właściwie *salvus conductus* przedstawicielom Boerów w Europie, aby ci, wystawiwszy Boerom położenie istotne, wywołali w nich postanowienie pożądane. Na to rząd angielski odpowiada, że pośrednictwa, motywowanego taką jak wyżej ludzkością nie odrzuca, zastrzegając wszakże przytem uroczyście prawo swoje do uchylania wszelkiej interwencyi obcej. Przeciwko posłannictwu z Europy wytacza argument, że ster spraw boerskich znajduje się nie w Europie, ale w Afryce, w obozach; sternikami są Stein i Schalk-Burger. Rząd angielski nie tamował dotychczas i tamować nie będzie na przyszłość możności bezpośredniego zwrócenia się do naczelnego wodza w Afryce, który miał też i ma odpowiednie upoważnienie. Jeśli zapytamy: do czego? — nota angielska nie da nam odpowiedzi, ale da ją dotychczasowa postawa obu stron w obozach. Kitchener czeka tylko na poddanie się, gotów jest na zgodę uścisnąć rękę, któraby oręż daleko od siebie odrzuciła. Stein i Schalk-Burger nie myślą jej bez oręża wyciągnąć; trzej

główni wodzowie, De Wett, Botha i Delarey — jak zapewniają organa boerskie — walczyć będą dopóty, dopóki nie zginą, lub niepodległości nie wywalczą.

To, co jest w notach, nie jest nawet początkiem do zawiązania układów, mających stanowić o losie samej wojny. Wtedy dopiero będzie można poważnie mówić o takich układach, gdy Anglia zamiast w Afryce wskazywać Kitchenera jako swego anioła pokoju, wskaże go w Londynie, w samym rządzie angielskim. Wtedy dopiero Boerowie staną się dla niej stroną do działania uprawnioną, indywidualnością, którą się przed sobą widzi i szanuje, a nie kupą buntowników, których się za stronę wojującą nie uważa i których się depcze. Do tego przecież, aby Anglia mogła zająć takie wobec Boerów stanowisko, potrzeba pierwej rozbić wątpliwość co do politycznego upostaciowania krain boerskich po wojnie. Rozbicia tego dokonać może bądź wola ludzka, bądź nieszczęście, które ją przytłoczy i samo za nią działanie podejmie. Od Anglii tylko zależy danie takich warunków bytu, któreby od dzisiejszego ideału Boerów jak najmniej odbiegały, a w tem już zawiera się i zasada uszanowania, co najmniej ich autonomii, jeśli już nie tej niedoskonałej niepodległości, jaką narzuca stosunek protektoratu. Rzeczą nieszczęścia będzie oznaczanie chwili, w której ustępstwa, nawet najlżejsze, ani przez jedną stronę udzielone, ani przez drugą przyjęte być by nie mogły. Od fizycznego wybicia, wytępienia do cna obozów boerskich, gorszem byłoby dla nich psychologiczne wypalenie się, rozczarowanie co do świętości sprawy, za którą walczą. Wtedy już Anglia nacisnęłaby nietylko karki, ale i dusze. Wtedy już Boerowie, przedłużając wojnę, po za nieuchronny moment psychologiczny — zgotowaliby sobie los żywego materyału dla spekulantów politycznych i handlowych — którzy wojnę obecną z nimi prowadzą — i przepadliby już na zawsze.

Listy z Francyi.

Dwa miesiące zaledwie pozostaje deputowanym francuskim do spełnienia szumnych, głośnych obietnic, jakie w 1898 r. dali swym wyborcom na zebraniach publicznych lub w tysiącznych odezwach, rozlepionych po wszystkich zaułkach miast i wiosek francuskich.

Niepokój ich dziś ogarnia — nie chcę powiedzieć sumienie dręczy — azali wyborcy przed tegorocznymi wyborami do Izby w kwietniu nie zażądają kategorycznie obrachunku z ich działalności oraz wykazania, o ile ich solenne przyrzeczenia z przed czterech lat nie były czczym frazesem. Najgłośniejsi nawet, najczynniejsi obrońcy klas ludowych niełatwe mieliby zadanie, gdyby lud francuski, jak wszelki lud, nie był tak łatwowierny, nie zapominał tak prędko krzywd mu wyrządzonych i gdyby na zebrania wyborcze przychodziły i te wysoce uświadomione, choć nieraz zbyt rozgoryczone jednostki, które straciwszy zaufanie do parlamentaryzmu, trzymają się zdala od walki wyborczej, od głosowania i tylko w swoich pismach, na wiecach publicznych, na zebraniach syndykatów poddają surowej krytyce wszystkie prawa i nowe projekty do nich, oraz chłoszczą bezlitośnie mandataryuszów ludu, którzy za 25 franków dziennej zapłaty wydają tak mało pracy owocnej, a tak często działają na jego szkodę.

Nie dziw więc, że deputowani dzisiejsi silą się obecnie okazać swą żywotność bądź to wnosząc w parlamencie przeróżne kwestye lub interpelacye, które z powodu spóźnionej pory w najlepszym razie mogą być roztrząsane tylko w komisyach, a więc na zawsze pogrzebane, bądź to projektując pszeróżne poprawki, niemające naturalnie żadnych widoków urzeczywistnienia, przy rozprawach nad budżetem tegorocznym, który według utrwalonych zwyczajów zamiast przed nowym rokiem, dopiero na wiosnę będzie uchwalony przez Izbę i odesłany senatowi do ostatecznego przyjęcia.

Próżne są jednak wysiłki deputowanych! Na nic się nie zdadzą ani barwne sprawozdania z ich mandatów, ani piękne mowy, pełne szumnych frazesów i retorycznych zwrotów na przeróżnych bankietach i umyślnie urządzanych uroczystościach.

Izba dzisiejsza kończy swój żywot w anemii, nie zaznaczywszy go żadną rdzenną reformą, żadnem prawem głośniejszem, żądanem przez tysiące cierpiącego ludu; ustępuje ona wśród ogólnej apatyi, bez krzty żalu ze strony pracujących, bez żalu nawet burżuazyi.

Ministeryum, a zwłaszcza jego prezydent Waldeck-Rousseau, może będzie łzy po niej wylewał, była bowiem ona we wszystkiem zawsze mu uległą, kierował nią łatwo, jakby stadem baranów; dość mu było zagrozić postawieniem kwestyi zaufania gabinetu, ażeby przyjęła jego żądania i jeszcze uchwaliła wydrukowanie mowy jednego z ministrów.

Pozornie wydaje się, że dzięki ostatniej Izbie, a szczególnie dzięki energicznemu gabinetowi Waldeck-Rousseau, prawie w ciągu trzech lat przez nią popieranemu, Francya uspokoiła się, wzmogła, rzeczpospolita nareszcie ustaliła się i nie może obawiać się ani monarchizmu, ani też nowego bulanżyzmu, antysemityzmu lub nacyonalizmu.

Prawda, że kilku przywódców stronnictw reakcyjnych, jak Deroulède'a lub Guerina, skazano na banicyę, że reakcya dziś kryje się pod płaszczykiem republikanizmu; prawda, że nadchodzącą burzę z powodu sprawy Dreyfusa potrafiono zażegnać, budzące się tłumy zdołano uśpić, nowe gromy zdążono uspokoić — i burżuazya francuska może znów rosnąć w potęgę, a Francya uchodzić za uspokojone silne mocarstwo, ale wszystko to jakim kosztem, jakiemi ofiarami?..

Ułaskawiając Dreyfusa, dając amnestyę wszystkim winowajcom tej sprawy, pogrzebano nadzieję z jednej strony postawienia ich pod pręgierz a może i wysłania do Nowej Kaledonii, a z drugiej — zniesienia lub zupełnego zreformowania instytucyj, które były przyczyną omyłek, fałszerstw i zbrodni.

Uznając i długo podtrzymując gabinet Waldeck-Rousseaua, który, postawiwszy obok Milleranda słynnego Gallifeta, jakoby skojarzył najskrajniejsze żywioły, zasypano a raczej zakryto przepaść, jaką przez dziesiątki lat żłobiły stosunki społeczne.

Łudząc masy robotnicze wyborem ministra z ich łona i podając przez niego obłudne lub małoznaczące projekty do praw, zatamowano może na całe lata rwące się potoki, z szerokiego, głębokiego koryta sprowadzono je na wązkie i kręte strumyki.

6)

M. Grossek.

SERCE.

Pogrążony w zamyśleniu głęboikem ksiądz minął Lipki i kilka, tak zwanych, wiejskich ulic, gdzie po za płotami, wśród sadów, kryły się zwykłe chaty chłopskie, a od drogi dwoma rzędami szły do miasteczka krępe, rozłożyste lipy, podobne do starych przekupek i urywały się przed kłębem uliczek ciasnych, wązkich murowanej dzielnicy żydowskiej. Tu ziemię pokrywała nigdy niestarta gruda skamieniałego jeszcze od wiosny błota, walały się kupy śmiecia i słomy, psy ohydne, bezpańskie, szukały pożywienia w niewysychających nigdy kałużach; nad całą tą dzielnicą stało bez ruch powietrze gęste od pyłu, rozpalone od kamieni, przesiąknięte wonią gnijących odpadków i wyziewami żołądków, trawiących czosnek i cebulę. Za nic w świecie ksiądz by tędy nie poszedł. Na sam widok tych miejsc unosił troskliwie wyświechtaną, łataną sutannę i oglądał swe obuwie. Wolał w czwórnasób nałożyć drogi i obejść w koło ogrodami. Zboczył więc już na lewo, gdy zapalające się w kramikach światełka czerwono zabarwione w pylnem powietrzu, przypomniały mu, że potrzebuje na drogę torby skórzanej. To mu przerwało bieg myśli i zafrasowało niesłychanie. Targował się z sobą, czy mu to jest, czy nie jest potrzebne.

— Kruty ni werty — rzekł wreszcie, kierując się ku sklepom. — Musisz kupić, kochanku, bo się w drodze obgubisz, albo cię okradną.

Kupno to wysuszyło niejedno żydowskie gardło i oblało potem niejedną skroń izraelską. Ksiądz był drobiazgowy a targował się do upadłego. Rzekłbyś, że to ostatni kutwa zakamieniały — tak mu się ręce trzęsły, gdy otwierał portmonetkę starą, wytłuszczoną i ostrożnie wydobywał z niej po jednemu srebrniaczki, każdego oglądając z obu stron i żałując oczyma. Żyd, który zmiarkował, że naturalną drogą nic dojdzie do sprzedaży, ułatwił ją sobie sztucznie, więc teraz uśmiechnął się tylko słodko i chytrze. Lecz ksiądz Dyonizy ostrożny i podejrzliwy, wychodząc, rozwinął raz jeszcze swój sprawunek: spostrzegł, że mu podsunięto inny towar. Zrobił się skandal tak głośny, że aż spora gromadka widzów obległa drzwi kramiku. — Starzec uniósł się, huczał jak orkan, a grubą, sękatą laską okładał schylone, umykające plecy handlarzy. Awantura nie wiadomo na czem by się skończyła, gdyby do sklepu nie wbiegła dziewczynka bosa, mała, z włosami koloru słomy pszennej i niezdrową oliwkową „pyszczyną;“ oczy koloru mocnej farbki uderzały fałszywym wyrazem przybranej martwoty, którą się maskuje i to, co się wie, i to, co się czuje, a z po za której wyzierał spryt przedwczesny, rozwój praktyczny i przebiegłość dziecka ulicy, które bieda nauczyła, jak małe zwierzątko, myśleć o swych potrzebach i doskonale im zaradzać. Życie tej małej upływało w oknie krzywego, drewnianego piętерka, gdzie od rana do zmroku, siedziała na usługach sparaliżowanej babki i gdzie jednocześnie ciotka jej, Apolonia, ślęczała w drugiej izdebce przy maszynie, jeśli nie poszła na dzienny zarobek po domach. Siedząc tak wiecznie, ostremi łokciami oparta o okno, wybuchała czasem z całego gardła śmiechem łobuza, rozbawionego niezbyt budującemi scenami ulicznemi, uprawiając z namiętnością sport oblewania z nienacka żydów wodą. Gdy w oświetlonem wnętrzu sklepu zobaczyła proboszcza, drobnym, cichym biegiem stóp bosych „przycupała“ i w rękę go cmoknęła. Rozgniewana, czerwona twarz starca, groźna jak chmura gradowa, skrzywiła się uśmiechem. „A, to ty, Zosiu!...“ przywitał ją cichym, ochrypniętym głosem.

I zapanował we Francyi spokój, tak upragniony przez przemysłowców, kupców i handlarzy, a społeczeństwo francuskie popadło w jakieś odrętwienie. Nie znajdowały już odgłosu głębokie myśli, szerokie poglądy takich szermierzy, którzy wstrząsali społeczeństwem podczas sprawy Dreyfusa, jak dawny deputowany a obecny redaktor dwutygodnika *Bloc*, Clémenceau, dyrektor instytutu Pasteura — Duclaux, znakomity poeta Anatole France, Zola, profesorowie uniwersytetu: Buisson, Psichari, Lapicque itd.

Dopiero ostatnimi czasy znowu zadrgało życie, gdy padły nowe ofiary rzeczypospolitej reakcyjnej.

Wymierzenie przez najwyższą radę oświaty najsurowszej kary na profesora historyi w Sens, Gustawa Hervé, za to, że po za szkołą chciał na równi z innymi obywatelami mieć prawo wypowiadania swych myśli, oraz uznanie tego wyroku przez Izbę, która nawet poleciła w całej Francyi rozlepić mowę ministra oświaty, wstecznika Leyguesa, jak również zawieszenie czasowe profesora Sorbony, Lapicque'a, za założenie kasy zapomóg dla dymisyonowanych profesorów — wywołały oburzenie nietylko wśród inteligencyi, ale i wśród robotników.

Niemało też przyczynił się w ostatnich miesiącach do poruszenia opinii publicznej słynny adwokat Dreyfusa, Labori. Pomimo oddania się ciałem i duszą w ciągu dwóch lat sprawie Dreyfusa, która, mówiąc nawiasem, przyprawiła go o stratę całej klienteli prawniczej, pomimo wielkiego talentu krasomówczego i redagowania od lat kilku poważnego miesięcznika *La grande revue*, Labori dotychczas nie występował na szerszą arenę publiczną, nie starał się wywierać wpływu na masy, nie pisał nawet sam w swym miesięczniku.

Dopiero po czterech latach milczenia przemówił po raz pierwszy w swem piśmie a z takim talentem, taką logiką i ścisłością przedstawił dzisiejsze we Francyi przesilenie moralności, religii i polityki oraz hypokryzyę rządów, że zwrócił na siebie powszechną uwagę i zasypany został mnóstwem listów prywatnych i odpowiedzi drukowanych w pismach.

Prócz pochwał i powinszowań dostały mu się cięgi niemałe; słynny Reinach, dawny deputowany, odebrał mu nawet oddawna powierzoną sprawę. Labori bowiem, dotykając kwestyi Dreyfusa, wyraził głęboki żal z powodu przyjęcia ułaskawienia. Wszak od tej chwili — mówi on — Dreyfus przestał być symbolem i żyjącym protestem przeciw niesprawiedliwości, a sprawa niewinnego, dwukrotnie zasądzonego, zawsze piękna i słuszna, nie jest już hasłem humanitarnem, ani programowem.

Labori dosłownie wyjaśnił swą „politykę moralną,“ czyli „politykę uczciwych ludzi“ w szeregu artykułów jednego z dzienników, jak również w swych odczytach. Jest to program mniej więcej radykałów à la Pelletan lub Clémenceau, oparty na słynnych „prawach człowieka,“ ale wypowiedziany z takim młodzieńczym zapałem, z taką głęboką wiarą, a zarazem z taką pobłażliwością dla wrogów osobistych, że Laboriemu należy się poczesne miejsce wśród tak zwanych *intellectuels*, którzy na podobieństwo encyklopedystów z przed Wielkiej Rewolucyi torują nowe ścieżki ludzkości.

Zarzucają tym pionierom wolności brak ścisłego programu, niepodpisanie się pod jakiemś „credo“ Marxa lub Bernsteina — lecz właśnie dlatego nie są oni sekciarzami, a idee ich są tak szerokie i ponętne dla wszystkich, którzy dążą do sprawiedliwości, braterstwa i równości.

Oni to więcej niż ktokolwiek prowadzą zaciętą walkę z klerykalizmem. Wytykają całą obłudę rządu i Izby, która zniesienie we Francyi nieupoważnionych kongregacyj uważa za swe dzieło wiekopomne.

Przez cały rok a może i dłużej, telegrafy i poczty roznosiły po całym świecie wieści o zagładzie zakonów we Francyi, że ci lub inni zakonnicy już wyjeżdżają, że dobra ich lada chwila będą skonfiskowane, że władza sądowa ma wytoczyć proces itp.

A tymczasem my, którzy badamy klerykalizm we Francyi na gruncie, widzimy, że zniesienie kongregacyj jest burzą w szklance wody, rzuceniem garstki ochłapów tłumowi, groźnie domagającemu się chleba.

Względnie nader mała ilość zakonów opuściła Francyę, wyjechały właściwie tylko te, które z powodu znacznego współzawodnictwa ledwie tu wegetowały; otoczone aureolą męczeństwa, jako wygnane z Francyi, znajdą z pewnością gościnność i podporę na innej ziemi; zmieniając ojczyznę, zrobią jeszcze interes materyalny.

Wszystkie zaś zakony, cieszące się powodzeniem i posiadające szkoły, zostały we Francyi; podały tylko prośbę o uprawomocnienie ich, czego rząd obecny bez wątpienia nie odmówi. W bieżącym roku szkolnym otwarto wszystkie kolegia jezuickie w Paryżu i na prowincyi, tylko pod nominalną dyrekcyą księży świeckich lub jezuitów sekularyzowanych. Dotychczas, pomimo prawa podstawiania osób, rząd nie myślał niepokoić tych zakładów.

Wprawdzie w ostatnich dniach na żądanie prezesa ministrów sędzia śledczy w Paryżu wezwał do siebie kilku słynnych jezuitów-kaznodziei, chcąc im wytoczyć proces za bezprawne nauczanie z ambony, — ale i ci udowodnili, że mają od papieża pozwolenie przejścia do szeregów duchowieństwa świeckiego i, że są już przez biskupów zaliczeni do parafij.

Tym sposobem głośni kaznodzieje jezuici i dominikanie nie przestaną prawdopodobnie rzucać gromów na postęp i naukę, na wszelki objaw myśli wolnej i wszelkie żądania polepszenia doli.

Zanadto zręczny, zanadto przebiegły jest kler francuski, ażeby nie znalazł sposobu pozostawienia we Francyi przydatnych mu zakonów i bardziej wpływowych mówców. Zresztą, czyż podkopywanie klerykalizmu jest rzeczywiście interesem francuskiego rządu i parlamentu?

W roku przeszłym przy rozprawach nad budżetem wyznań, kiedy radykali żądali ponownie rozdziału kościoła od państwa i zniesienia konkordatu, prezes ministrów Waldeck Rousseau oświadczył, że możliwem to będzie dopiero po wprowadzeniu w życie przedstawionego przezeń prawa o kongregacyach, po uregulowaniu kwestyi zakonów.

W tym zaś roku, kiedy prawo to weszło w życie, tenże sam prezes ministrów, pomimo żądania przez komisyę budżetową zniesienia budżetu wyznań, dołożył wszystkich sił, by zniewolić Izbę do przyjęcia go, jak również utrzymania ambasady przy Watykanie, nadto zawotowania blizko 800,000 franków niemal wyłącznie dla misyonarzy na Wschodzie oraz 55 milionów (na 265 milionów ogólnej pożyczki z powodu Chin) tytułem wynagrodzenia kongregacyj francuskich, poszkodowanych jakoby przez Chińczyków.

Na gorzką ironię zakrawa mówić o prześladowaniu we Francyi kleru i kongregacyj, skoro się zna dokładnie ich bogactwa i potęgę, skoro się widzi, że w jednym departamencie Sekwany (w Paryżu i na przedmieściach) posiadają one przeszło

---

Odebrał już swe pieniądze, przeliczył, lecz trudno mu było uspokoić się odrazu. „Gałgany, psubraty, infamisy!“ bił laską w ziemię... ale w tej chwili poczuł w swej szerokiej, atletycznej ręce, drobne palce dziewczynki. „Chodzmy, Zosiu“—rzekł do niej i poszli razem przez ulicę.—Ksiądz się zatrzymał przed pierwszym z brzegu korzennym sklepem, dziewczynka trzymała się jego sutanny. Starzec był już w dobrym humorze. Kupił dziecku naprzód długi sznur obwarzanków i jak paciorki okręcił jej w koło szyi. Siadł na stołku, rozstawił kolana, wziął przed siebie dziewczynkę i zaczął się z nią wedle zwyczaju przekomarzać. — „Widzisz, Zosiu, barany? a no, te, co je pędzą pod górę, hę? Ty myślisz, że to są prawdziwe barany? takie żywe, z mięsa?—ot! jakaś ty głupia!—siedzisz tu w miasteczku i nic wiesz nic, co się dzieje!—Żydy—powiadam ci—założyły fabrykę baranów z czekolady; sprężynę nakręca się w brzuchu, jak zegarek i baran lata, beczy... Nie wierzysz? — ot jaka głupia! przysięgniesz, że baran żywy, bo to i trawę skubie i rogami bodzie... a odkąś no mu ucho! — ha! to i likier się poleje!... kiszki także nalane są ulepem pomarańczowym, lub różanym... Rogi są z masy migdałowej... I nie wierzy!... no patrzcie państwo, co za głupia dziewczyna.“

Zośka była za mądra na takie mistyfikacye, lecz fantastyczność czepia się chętnie umysłu dziecka. Bądź, co bądź — myśli—trzeba spróbować tego ucha. A tu ją ksiądz gwałtem przytrzymuje za spódniczynę i nie puszcza. „Ale poczekajże!... ale poczekajże!...“ perswaduje, wyrywającej się ze wszystkich sił dziewczynie i śmieje się do łez, za boki się chwytając. Potem duży jakiś pakunek kazał sporządzić i odnieść za dzieckiem. „Pokłoń się — rzekł — Zosiu, babci i cioci i przeproś, że nie przyszedłem się pożegnać — tak mi jakoś czas całkiem zabrali!“

I żółta myszka podreptała na swe stanowisko z kieszeniami pełnemi marmeladek.

. . . .

O księże Dyonizy, jakże dziwnie podobny jesteś do Serafiny!

Dlatego może umiałeś ją tak mądrze strofować i dlatego tak jej żałujesz!

Twoja sutanna jest bardzo zniszczona, gospodyni codzień się z tobą kłóci, że żyjesz jak żebrak, wspiera cię łaska paru litościwych parafian, których kosztem jedziesz teraz leczyć się, a gołyś jak święty turecki.

Tymczasem twój poprzednik zebrał grosze wcale ładne i poszedł bardzo wysoko. On, który wyszedł z „czwartej klasy,“ przysyła ci teraz listy pasterskie, tobie, któryś przez uniwersytet przeszedł do seminaryum i który w głębi duszy nazywasz go żartobliwie „hebesem.“ Filozof jesteś, księże! Praktykowałeś także anielską moralność w jej pierwotnej, Chrystusowej redakcyi, i dlatego zostałeś biednym proboszczem w zapadłej mieścinie, gdzie dzieciom kupujesz obwarzanki. I tyś się nie zdobył na owo „wielkie dzieło“ — pokruszyłeś na odrobiny swe środki, siły i życie, choć miałeś niepospolitą inteligencyę. Lecz tak jak Serafinie, do wielkich przeznaczeń brakło ci instynktu samozachowawczego; zamiłowania do walki, która jest także obroną własnej idei. Bezwzględność i samolubstwo, brutalność i zapamiętałość są nieodzownymi składnikami geniuszu. Walka jest jego żywiołem, a walka jest też niszczeniem. Twoja natura zaś za miękka była do walki. Dlatego to na drabinie dostojeństw kościelnych postawiłeś nogę zaledwie na pierwszym szczeblu. Bo i tu trzeba używać łokci ku rozpieraniu się i kolan ku spychaniu... Nie praktykowałeś mądrej sprawiedliwości... nie oddawałeś złem za złe... pięścią nie odpierałeś pięści i podstępem podstępu. Tyś dobrowolnie puszczał naprzód przed sobą tych, co nie warci byli ciebie i nie chciałeś upomnieć się za sobą w imię sprawiedliwości, sięgnąć stanowczo i z siłą po stanowisko wysokie, twemu rozumowi i cnocie odpowiednie. Boś ty zawsze żałował drzew, które potrzeba wyciąć dokoła

134 hektarów gruntu, przedstawiającego wartość przeszło 230 milionów franków.

Dr. J. Zieliński.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Katowicach zabroniła policya balu urządzanego przez Polaków, pod pozorem „agitacyi polskiej." We Wrocławiu wytoczono proces nakładcy kart pocztowych z widokami Wrześni i scen wrześnieńskich. — Cesarz Wilhelm wybiera się w lipcu do Petersburga, we wrześniu ma zjechać do Poznania na wielkie manewry. Ks. Henryk jedzie w przyszłym tygodniu do St. Zjednoczonych na chrzest nowego okrętu niemieckiego; za kumę będzie miał córkę prezydenta Roosevelta. Przypisywanie cesarzowi Wilhelmowi intryg, mających zaszkodzić Angli przez podmówienie Hollandyi do ujęcia się za Boerami — jest bezpodstawne.

Pogłoski o przeistaczaniu się przymierza potrójnego w podwójne, a podwójnego w potrójne—nie ustają. Włochy przechodzą jakoby do Francyi, zostawiając samą Austryę i Niemcy w objęciach przyjaźni. Całą tę przyjaźń naprężają, ale jej nie rozerwą. Mówią to organy rządu niemieckiego i mówią dobrze; przypominają, że w przyszłym roku hr. Gołuchowski oddzieli politykę od handlu. I Włochy też nie porzucą Niemiec. Wszystko co się w dziennikach wyczytuje, jest tylko fantazyowaniem na podstawie pozorów ze stosunków podrzędnych.

W Austryi d. 4 b. m. zebrały się Izby. Dwa pierwsze dni spokojne. Uchwalić ugodę z Węgrami i budżet—zadanie to wymagające najdoskonalszego spokoju. Zasadnicza ugoda spełzła, ale Koerber obietnicami sprowadził zawieszenie broni. W Komisyi budżetowej obu narodowościom przyrzekł uniwersytet na Morawach. Gimnazyum Cieszyńskie dostało od komisyi zapomogę 24,000 koron. Czy dostanie ją i od Izby? Schoenerer, który zerwał z Wolfem z powodu jego zbyt jawnej niegodziwości, po niegodziwem wybraniu go przez Niemców Trutniowa sam chce się poddać nowemu wyborowi.

Arc. Franciszek-Ferdynand d. 5 b. m. wyjechał z Wiednia do Petersbuga. Nazajutrz przejeżdżać miał przez Warszawę, aby 7 b. m. stanąć u celu podróży.

Boerowie osaczyli znowu Anglików i o znaczne przyprawili ich straty. Boer Vilanel organizuje partyzankę przeciwko Boerom, aby ich skłonić do zaprzestania walki. Oczywiście, występuje ten nikczemnik pod patronatem angielskim.

Na Kubie wrzenie.

Jung-li na miejsce Li-Chung-Czanga—pierwszym, wielkim sekretarzem państwa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD WARTY I ODRY.

W jednym z poprzednich listów donosiłem o powstaniu nowego pisma dla Śląska polskiego —*Górnoślązaka*, wydawanego właściwie w Poznaniu przez p. Marcina Biedermanna, właściciela bardzo rozpowszechnionej *Pracy*. Na czele tego pisma stanął p. Korfanty, jeden z najmłodszego pokolenia inteligencyi górnośląskiej. Jest on synem prostego górnika i włościanki, którzy posyłali go codziennie do gimnazyum w Katowicach, odległych o godzinę drogi od jego wioski rodzinnej. Gimnazyum jednak nie ukończył, gdyż właśnie przed egzaminami ostatecznymi był przez żandarma zadenuncyowany o udział w „agitacyi wielkopolskiej" i wskutek tego wydalony. Studyował we Wrocławiu i Berlinie nauki prawne i społeczne, przygotowując się do zawodu dziennikarskiego, następnie przebywał czas jakiś we Francyi, Austryi i Rosyi, w końcu zaczął brać udział w ruchu polskim na Śląsku. Występował na zgromadzeniach publicznych z przemowami i referatami w duchu daleko radykalniejszym pod względem narodowym, niż *Katolik* i jego zwolennicy. To go naraziło na starcie z obozem tych ostatnich, w którym po jego stronie stanęła cała inteligentna młodzież górnośląska. P. Korfanty stał się rzecznikiem tej młodzieży, występującej jako zalążek stronnictwa demokratyczno - narodowego i wypowiadał w *Dzienniku Berlińskim* jej poglądy na sprawy górnośląskie. Jego pióra jest rozrzucona w dość znacznej liczbie na Górnym Śląsku broszura „Precz z centrum!"

Pragnąc wyzyskiwać dla swoich celów wydawniczych młodego dziennikarza, p. Biedermann, zaprosił go na redaktora *Górnoślązaka*. P. Korfanty przyjął propozycyę, co wywołało powszechne zdziwienie, gdyż wydawana przez p. Biedermanna *Praca* dążnościami swemi bardzo daleko odbiegała od poglądów, wyznawanych przez p. Korfantego i zwolenników jego polityki. Zresztą, ponieważ wiedziano, że p. Biedermann jest jedynie i wyłącznie spekulantem, któremu nie chodzi o żadne zasady, tylko o zysk, przeto całą tranzakcyę zrozumiano jako chęć zrobienia interesu finansowego przez p. Biedermanna, politycznego zaś—przez p. Korfantego i jego przyjaciół. Szerzyły się jednak dziwne pogłoski, jakoby p. Korfanty zobowiązał się nie wymieniać w *Górnoślązaku* nazwy stronnictwa, do którego należał...

Pismo zaczęło wychodzić i rozpowszechniać się wśród mas i władze pruskie baczną zwróciły uwagę na jej redaktora. Udało im się podczas rewizyi w redakcyi *Pracy* przyjść w posiadanie dwóch rękopisów p. Korfantego. Były to artykuły wydrukowane w *Pracy* i zawierające według zdania prokuratoryi, podburzanie do gwałtów. Nie omieszkała ona skorzystać ze sposobności, ażeby wytoczyć proces p. Korfantemu. Oprócz niego stanął przed sądem poznańskim także redaktor odpowiedzialny *Pracy*, p. Kamieński. Pomimo doskonałej obrony sąd skazał p. Korfantego na 4 miesiące więzienia, współoskarżonego zaś redaktora odpowiedzialnego *Pracy* na 2 miesiące. Natychmiast po ogłoszeniu wyroku prokurator postawił wniosek o bezpośrednie osadzenie p. Korfantego w więzieniu, gdyż zachodzi obawa, że mógłby ujść do Krakowa i stamtąd kierować pismem. Obrońca zażądał, aby p. Korfantego uwolniono za kaucyą 2000 marek. Na to prokurator oświadczył, iż zgodziłby się na uwolnienie zasądzonego tylko za kaucyą 5,000 m., ale jedynie w tym wypadku, jeśli te pieniądze będą złożone przez p. Korfantego z własnych funduszów. Sąd udaje się na naradę i po chwili wraca, czyniąc zadość żądaniu pruskiego prokuratora. Sługa odprowadza skazanego wprost z sądu do więzienia.

P. Korfantego zastąpi przy *Górnoślązaku* ktoś inny, a władze pruskie będą miały w zysku stworzenie popularności jeszcze jednemu redaktorowi polskiemu.

Władze pruskie, nie mogąc zapobiedz rozwijającemu się na miejscu ruchowi polskiemu, spędzają swe niezadowolenie na cudzoziemcach, tj. polskich obywatelach austryackich, wiedząc doskonale, że dopóki ministrem spraw zagranicznych w Austryi jest hr. Gołuchowski, nikt się nie upomni o krzywdy Galicyan. Według urzę-

---

siebie, aby rozszerzyć horyzont dla oka i rozmachu prawicy. To też ominęły cię fiolety i na twej ręce nie błysnął ametyst książąt kościoła. Teraz dopiero, niedawno, spocząwszy po skończonej wędrówce na górze starości, skąd w perspektywie objąłeś okiem odrazu cały przebiegnięty szlak życia, zrozumiałeś błąd jego zasadniczy, fatalne zboczenie charakteru. I odtąd też na charakter twój jęła oddziaływać refleksya i wola. I popsuły go tylko, oszpeciły piękną, jednolitą robotę natury, jak pospolity malarz, odnawiający płótno mistrza. Wielbiciel na starość trzeźwego racyonalizmu i zaradnej męskiej energii, wyrobiłeś tylko w sobie tę sztuczną genialność dziecinną o drobnostki i swarliwość niewieścią, podczas gdy w masie poważnych spraw życia pozostałeś zawsze tym samym miękim, bezbronnym wyznawcą Chrystusowego etycznego idealizmu.

Stało się!.. światło twoje zgorzało pod korcem; zakopane na wiele wieków twoje talenty; zmarnowałeś się, księże Dyonizy! A niczego nie brakło bogatej twojej naturze, prócz tej odrobiny „złego," bez której nie może być siły. Szczerozłotej twej duszy brakło nikczemnego aliażu, któryby ją uczynił mniej mięką. Dlatego pochłonęła cię nędza i ciemność, zapomnienie, nicość i boleść maluczkiego życia, zamkniętego wśród infuzoryów.

Bo takim jest los serca.

Nawet do filantropii jest ono niezdatne. Wielka filantropia to dziecko rozumu i cywilizacyi. Chłodna, przezorna, wyrachowana, nie wzrusza się nigdy! Uniesienie się łaską względem jednych byłoby bowiem skrzywdzeniem innych. Równy, rozumny musi być jej podział; miara i numer porządkowy w jej ręku! Ona obmyśla najtańszą i najposilniejszą polewkę dla największej ilości gąb otwartych, pamiętając, że nędza jest stugłowa, że nakarmić jej niepodobna, a nawet dość trudno utrzymać ją przy życiu. Działalność jej zmieni tak z czasem życie społeczne, jak inżenierya powierzchnię ziemi.

Ale nie do niej stworzeni są Dyonizy i Serafina.

Ich serce musi się wzruszać. Ich dobroczynność jest pełną wdzięku dobrocią wiosny; płodną jak ziemia, która równie skwapliwie przyjmuje i żywi ziarno pszenicy, jak nasienie pokrzywy. Zaślepiona i słaba jak matka, najczęściej psuje to, co najsilniej kocha i więcej płacze, niż się cieszy, nad zbiorem swego posiewu. Zato ona jest prawdziwie piękna. Daje bez zastanowienia pierwszemu, kto zażąda, aż z prostotą pokaże puste dłonie; rozdaje łakocie głodomorom, kwiaty umierającym, cacka sierotom, pieśni i błyskotki ulicznicom; bo ona jedna odgadła, że szczęście potrzebniejsze jest od życia... że nawet dla nędzarza więcej znaczy, niż chleb i koszula, bez których nauczył się obywać, orzeźwiająca chwila wesołości: wdzięk, słodycz, godzina zapomnienia.

Dyonizy i Serafina! smętni szafarze szczęścia, którego sami dla siebie nie mają... oni całkiem należą do poezyi! Dlaczegóż przynajmniej nie dano im było żyć ze sobą razem!.. Może razem byliby znaleźli w sobie impet do podjęcia „dzieła," rozwiązali właściwiej zagadkę swych przeznaczeń, razem oparli się łacniej wessaniu, dwie krople rosy wśród żrących dokoła piasków.

Lecz się spóźniły względem siebie te dusze. Rozdzielił je nieodwołalnie porządek stworzenia. Jedna była młodą kobietą, poślubioną pospolitemu człowiekowi, druga — starcem, kapłanem, sługą bożym. Nie razem kwitły ich kwiaty! Pięćdziesiąt pokoleń róż i słowików przeminęło pomiędzy jego i jej wiosną... Oni spotkali się tylko na mgnienie oka, ramieniem potrącili się, jak dwaj podróżni w ciżbie, na wspólnym gościńcu, z których jeden idzie na zachód, a drugi na wschód.

(C. d. n.).

dowego *Oppelner Regierungs-Amtsblatt*, od 1 października 1899 r. aż do 1 października 1901 r. wydalono z regencyi opolskiej 3,458 osób drogą administracyjną, nie licząc tych, które usunięto na mocy wyroków sądowych. Ciekawe, że organ urzędowy bez żadnej ceremonii podaje jako przyczynę wydalania przeważnie posługiwanie się językiem polskim: „ponieważ głównie po polsku mówi"; „z powodu języka polskiego"; „ponieważ jest pochodzenia polskiego." Wydalono też sporo Żydów wprost za sam fakt pochodzenia żydowskiego. Wydala się osoby różnego stanu i wieku, od 79-letniej starowiny nazwiskiem Karkoszko, aż do 3-miesięcznej Elfridy Stieglitz, „która ma *dobrowolnie* opuścić granice państwa pruskiego w przeciągu oznaczonego terminu." Jednocześnie wydalono i trzech braci tej dzieciny w wieku od 3 do 7 lat.

A jednak i tak mocne środki, jak wydalenie paru tysięcy obcokrajowców, nic Prusakom nie pomogą, gdyż Polacy jakby na złość mnożą się zastraszająco szybko, przez co stale zmieniają procentowy stosunek wzajemny ludności polskiej i niemieckiej na niekorzyść tej ostatniej. Ciekawe pod tym względem cyfry zawiera ostatni raport naczelnego prezesa Księstwa Poznańskiego, dr. v. Bittera, z d. 4 stycznia r. b.

Według jego danych, cała ludność Księstwa powiększyła się w r. 1890—1900 mniej więcej o 7 3/4%. W tem przyrost ludności polskiej wynosi około 10½%, niemieckiej zaś około 3¼%, a po odliczeniu chłopów niemieckich, sprowadzonych przez komisyę kolonizacyjną, tylko o 1 3/4%. Właśnie w powiatach obwodu nadnoteckiego w regencyi bydgoskiej i w tych powiatach regencyi poznańskiej, które graniczą ze Śląskiem i Brandeburgią, przyrost ludności polskiej wynosi okrągłe 13%, a nawet 14½%, przyczem ludność niemiecka cofa się liczebnie. Naturalnie cokolwiek z tych cyfr należy złożyć na karb tendencyi zastraszenia publiczności niemieckiej ogromem „niebezpieczeństwa polskiego," ale pomimo to fakt szybszego wzrostu ludności polskiej pozostanie faktem.

Sprawozdanie p. Bittera, jak również raport jego kolegi, naczelnego prezesa Prus Zachodnich, v. Gosslera, zawiera bardzo dużo ciekawych wiadomości o postępach żywiołu polskiego, które (gdyby nawet były znacznie przesadzone) świadczą o wielkiej żywotności Polaków w Prusach.

Według p. Bittera, w ciąku czterech lat (1897—1900) w Poznańskiem przeszło z rąk polskich w niemieckie 158 gruntów obszaru 16,293 hekt. łącznie już z nabytkami komisyi, kiedy z rąk niemieckich w polskie— 1,910 gruntów obszaru 32,260 hek. Strata więc po stronie niemieckiej wynosi 1,752 gruntów obszaru 15,907 hekt. Cyfry te świadczą, że zdobywa na Niemcach ziemię głównie chłop polski, kiedy w ręce niemieckie przechodzą majątki szlachty polskiej. To samo daje się zauważyć w Prusach Zachodnich, gdzie od r. 1897 do 1900 z rąk niemieckich w polskie przeszło 31,054 hekt., natomiast z rąk polskich w niemieckie tylko 16,434, tak że strata po stronie niemieckiej wynosi 14,630 hekt. i 1,154 posiadłości. Winę takiego smutnego dla Niemców faktu p. Gossler składa na liczne polskie banki ludowe i spółki parcelacyjne.

W miastach Poznańskiego także daje się zauważyć podobny proces, jakkolwiek nietak jaskrawo rzucający się w oczy. W Poznaniu w ciągu ostatnich dwóch lat przeszły z rąk niemieckich w polskie 64 grunty, a tylko 59 z rąk polskich w niemieckie. Jednakże wartość ostatnich przedstawiała 3,530,000 m., gdy pierwszych — 4,790,000 m. Na prowincyi stosunki układają się dla Niemców jeszcze gorzej, bo oto np. w takim Krotoszynie Niemcy nabyli od Polaków 20 domów, kiedy Polacy od Niemców 64. W Ostrowie w ciągu ostatnich 10 lat przeszło 31 domów i gruntów z rąk niemieckich w polskie, a tylko 6 z polskich w niemieckie.

Cofnięcie się żywiołu niemieckiego w miastach ilustruje zmiana właścicieli aptek. Przed dziesięciu laty z pomiędzy 125 istniejących podówczas aptek 98 należało do Niemców a 27 do Polaków. Dziś na 134 apteki 85 jest niemieckich a 49 polskich, czyli że Polacy powiększyli swój „stan posiadania" o 15%.

Niekorzystnie też układają się stosunki dla rzemieślników niemieckich. Dawniej przeważali w rzemiośle, z wyjątkiem jedynie fachu szewckiego, nawet w miastach głównie polskich, Niemcy. I dziś jeszcze niemiecki stan rzemieślniczy utrzymuje wprawdzie równowagę liczbową z polskim, lecz nie zwiększa się już odpowiednio. W Poznaniu, w zawodzie budowlanym i pokrewnych, reprezentowanych przed laty dziesięciu przeważnie przez Niemców, jest obecnie 133 majstrów, 508 czeladników i 131 uczniów narodowości niemieckiej, a 137 majstrów, 1,212 czeladników i 309 uczniów Polaków. Nie inaczej przedstawia się stosunek w innych zawodach w Poznaniu, co wynika z faktu, że u 715 majstrów niemieckich pracuje 1,528 czeladników i uczniów niemieckich, natomiast u 1,365 polskich majstrów 3,686 polskich czeladników i uczniów.

Obydwaj prezesowie naczelni użalają się na wzrost liczebny polskich lekarzy i adwokatów, którzy odbierają swym niemieckim kolegom klientelę polską. Nawet w Gdańsku stale się zwiększa liczba adwokatów i lekarzy polskich.

Nic dziwnego, że takie raporty napędzają strachu szowinistom niemieckim. Już to chętnych nastraszenia niemieckiego Michałka nie zabraknie. Oto np. niedawno znany radca sprawiedliwości i wiceprezes towarzystwa hakatystów, adwokat Wagner z Berlina, wydał do spółki z referendaryuszem Vosbergiem, płatnym agitatorem towarzystwa hakatystów na Śląsku, broszurę agitacyjną p. t. „Polenstimmen." Zawiera ona mnóstwo urywków z najrozmaitszych artykułów prasy polskiej, mających świadczyć o rewolucyjnem usposobieniu i separatystycznych dążnościach Polaków. Wybrane są trzy rzeczy najosobliwsze — i to nietylko z radykalnych pism poznańskich lub górnośląskich, ale i zagranicznych. *Dziennik Berliński* (demokratyczno - narodowy) cytowany jest 45 razy, *Pracę* spotkał ten zaszczyt 29 razy, tyleż *Gazetę Grudziądzką*, inne pisma od 1-go do 15. Biednemu Michałkowi włosy na głowie muszą stanąć, kiedy czyta jednym tchem wszystkie te okropności antypruskie, przedrukowane z materyałów, gromadzonych przez policyę poznańską.

Dużo się mówi o wysokim rozwoju oświaty ludu polskiego dzielnic pruskich. Istotnie, wśród ludu poznańskiego i górnośląskiego mniej jest analfabetów niż gdzieindziej, ale jeśli przyjrzymy się temu, co czyta ten lud górnośląski lub poznański, wówczas zrozumiemy, że tu o oświacie w ścisłem znaczeniu nie może być mowy. Pisma ludowe, dbające o polityczne uświadomienie ludu, jako też i o rozrywkę jego, stoją na bardzo nizkim poziomie. Miejscowa zaś specyalnie literatura ludowa to przeważnie zbiór głupich powiastek sensacyjnych oraz tego śmiecia klerykalnego, które tylko zachwaszcza umysły. Bezmyślne opowieści o żydach, kłujących hostyę nożami, lub o czerwonych dyabłach, warujących w wezgłowia umierającego człowieka — oto budujące tematy. Prawdziwie pożyteczne książki ludowe, wydane w Poznaniu, dadzą się na palcach policzyć. I taką to literaturą zapełnione są biblioteczki ludowe Poznańskiego i Prus Zachodnich! Na Śląsku nawet i takich bibliotek niema, a lud, chcąc się czegoś pożytecznego dowiedzieć, nie ma gdzie się udać i nawet nie podejrzewa, że w języku polskim mogą istnieć książki „wiedzowe," jak je nazywa. W szkole słyszy wciąż, że Polacy to naród, nieposiadający żadnej kultury, że oświatę czerpać tylko można ze źródeł niemieckich i musi w to wierzyć, bo istotnie czyta po polsku jedynie książki do nabożeństwa, kantyczki lub głupie powieści. Kiedy przed kilkoma miesiącami na Górnym Śląsku ukazały się po raz pierwszy w większej ilości warszawskie wydawnictwa popularne z dziedziny nauk przyrodniczych, lud przyjął je z wielkim podziwem i niesłychanym entuzyazmem.

Obecnie w Berlinie utworzył się „Komitet Oświaty ludu polskiego na Górnym Śląsku," który ma zakładać w tej dzielnicy czytelnie ludowe, odpowiadające dzisiejszym pojęciom o oświacie. Pierwsza taka czytelnia ma być założona w Katowicach. Komitet wydał gorąco napisaną odezwę, nawołującą rodaków do składek i datków w książkach. Jeden z pierwszych pospieszył odezwać się na to wezwanie Paderewski. Czytelnia katolicka ma powstać już w najbliższym czasie.

Pośrednik.

Z życia społecznego Hiszpanii.

Życie społeczne Hiszpanii pod wielu względami przypomina najbardziej zacofane zakątki Europy, np. Galicyę. Ogromna, tradycyjna władza duchowieństwa i arystokracyi, połączona w dodatku z wybujałym militaryzmem, zachowującym jeszcze niektóre formy XVIII w., czyni ten kraj nadzwyczaj opornym na wszelki postęp społeczny. Ferment takiego postępu, przemysł wielki, jest jeszcze w tym kraju podrzędną siłą społeczną; zresztą, żywioły postępowe, które on zradza, znajdują tu wiele przeszkód do uwydatnienia się: przedewszystkiem odwiecznie przez duchowieństwo hodowaną ciemnotę ludu, następnie — fałszerstwa i nadużycia wyborcze tak jaskrawe, że porównanie z Galicyą znowu ciśnie się pod pióro. Jednak przemysł wzrasta, choć niezbyt szybko. Wnioskować o tem można z zaludnienia głównych jego ognisk. Madryt w r. 1892 miał 157,000 ludności, w 1900 — 513,000; Barcelona 122,000 i 446,000, Sewilla 100,000 i 146,000, Walencya 66,000 i 171,000. Razem z dziesięcioma jeszcze innemi miastami ludność ognisk przemysłowych wynosiła w r. 1842 671,000, dziś — 1,844,000, czyli wzrosła w trójnasób, gdy tymczasem ogólna suma ludności kraju wzrosła w tym samym czasie z 13 na 19 milionów, czyli tylko o połowę. Takie przesunięcie się stosunku sił społecznych musiało wreszcie, pomimo wszystko, odbić się i na prawodawstwie. To też w ciągu ubiegłych dwu lat (1900 i 1901) wydano nareszcie dwa prawa, które większa część państw europejskich znacznie już dawniej posiada: prawo, regulujące pracę kobiet i dzieci w fabrykach, oraz prawo o ubezpieczeniu od wypadków nieszczęśliwych przy pracy i odszkodowaniu za nie.

Pierwsze ustanawia, że dzieci płci obojej przed ukończeniem dziesiątego roku życia w fabrykach wcale pracować nie mogą; dzieci zaś między 10 a 14 rokiem życia mogą pracować najwyżej 6 godzin dziennie w zakładach przemysłowych, a 8 — w handlowych. Dla dzieci poniżej 14-go roku życia wszelka praca nocna jest zakazana; w niektórych gałęziach przemysłu zakaz ten przedłuża się do 16-go roku życia. Przed ukończeniem tego wieku nie wolno też zatrudniać dzieci w kopalniach pod ziemią oraz przy manipulacyach niezdrowych albo niebezpiecznych. Co do kobiet, to prawo zajmuje się tylko położnicami, zabrania zatrudniać je na trzy tygodnie przed poło-

giem, a zarazem nakazuje przedsiebiorcy na żądanie położnicy zatrzymać dla niej jej miejsce przez trzy tygodnie po połogu. Prawo nakazuje wreszcie rozdzielenie robotników i robotnic przy pracy, oraz ustanawia komisye prowincyonalne i miejscowe pod przewodnictwem gubernatorów w celu inspekcyi, statystyki przemysłowej, popierania sądów polubownych między robotnikami a zarobkodawcami.

Prawo o nieszczęśliwych wypadkach nakłada na przedsiebiorców obowiązek ubezpieczania robotników w towarzystwach, których wypłacalność uznana jest za pewną. Robotnikom od zarobków nic się nie potrąca na składki ubezpieczeniowe, ale też w razie czasowej niezdolności do pracy wskutek wypadku nieszczęśliwego, robotnik otrzymuje tylko połowę zarobku dziennego. Wypłata zapomogi zaczyna się od dnia wypadku, co się tem tłomaczy, że w Hiszpanii nie istnieje, jak w innych krajach, ubezpieczenie w razie choroby. Prawo hiszpańskie zawiera jeden przepis oryginalny i zbyt elastyczny: w razie mianowicie dożywotniej, lecz częściowej niezdolności do pracy, przedsiebiorca ma prawo, zamiast odszkodowania (które zresztą może być jednorazowe w kwocie tylko jednorocznego zarobku) ofiarować inwalidom inną pracę z płacą nie mniejszą od pobieranej dawniej.

W ciągu roku od wprowadzenia prawa ubezpieczono 114,868 robotników z ogólną sumą zarobków rocznych 84,850,000 pesetas (franków). Przeciętny zarobek wynosi zatem około 750 pes. rocznie; a ceny środków spożywczych są bardzo wygórowane.

Na zakończenie tej notatki słówko o stowarzyszeniach zawodowych, które istnieją i rozwijają się, pomimo to, że arcybiskup Cascajares na zjeździe duchowieństwa w Burgos żądał bez ceremonii, aby wszelkie stowarzyszenia, niemające ściśle katolickiego charakteru, były wprost zakazane. W r. 1889 było 27 stowarzyszeń zawodowych, obejmujących 3,355 członków; w 1901 — 172 stowarzyszenia z 29,383 członkami. Łączą się one w ogólną „Union General de Trabajadores.“ Główna liczba zorganizowanych przypada na Madryt (do 14,000), następnie ośrodkiem ruchu są prowincye północno-zacnodnie z Bilbao. W Katalonii ilość zorganizowanych zaledwie przenosi tysiąc, mimo istnienia takiego ośrodka, jak Barcelona. Ludność ulega tam bowiem propagandzie odruchów burzliwych.

Spol.

Index librorum prohibitorum.

Przed kilku tygodniami jakiś uczony jezuita ogłosił w Rzymie pracę, w której obszernie rozwodzi się nad koniecznością palenia żywcem heretyków. Czcigodny teolog zapewnia przytem, iż ustami jego przemawia nie fanatyzm lub brak tolerancyi religijnej, lecz jedynie prawdziwie chrześciańska miłość bliźniego. Skracając życie heretykowi, unicmożliwiamy mu tem samem obciążanie sumienia i duszy nowymi grzechami i zmniejszamy, oczekującą go niechybnie, dozę mąk piekielnych. Praca jezuity wywołała oburzenie w całej prasie europejskiej i pokazała, jaka przepaść istnieje między Rzymem a światem współczesnym, ucywilizowanym.

Słusznie też Rzym postanowił z tej racyi zbliżyć do siebie stopniowo ludzkość i nawrócić wiedzę współczesną na drogę cnoty i zbawienia. Podobnie jak Marya Magdalena, przyobleczona w pyszne szaty i pałająca żarem zmysłów na widok łagodnego i pełnego przebaczenia wzroku Chrystusa, przypadła do jego łona, aby opłakać swoją przeszłość, tak nauka, zapoznawszy się z poglądami Rzymu, pójdzie do Kanossy, aby we włosiennicy pokutniczej prosić o przebaczenie grzechów, popełnionych z takimi rozpustnikami umysłowymi, jak Spinoza i Kant, Darwin i Mark, Renan i Ranke. Ale z pokuty owej powstanie nauka czysta i święta i zacznie prowadzić żywie cnotliwe.

Aby o tym żywocie nieskazitelnym dać pojęcie czytelnikowi, zaznajomimy go bliżej ze słynnym „Indeksem książek zakazanych,“ na podstawie pracy ogłoszonej obecnie w tej materyi przez historyka Lehmanna.

Ostatni Indeks wyszedł w r. 1900. Przedewszystkiem zawiera on „Constitutionem de prohibitione et cenzura librorum,“ wydaną przez Leona XIII 25 stycznia 1897 r. Ustawa ta daje wskazówki co do książek już ogłoszonych oraz w kwestyi przeszkodzenia ukazaniu się rzeczy nieodpowiednich. Tak z góry są zakazane wszystkie wydania tekstu pierwotnego albo starego tłomaczenia Biblii, o ile nie były dokonane przez katolików. To samo dotyczy tłomaczeń późniejszych. Przekłady na język narodowy są dozwolone tylko w tym razie, gdy pochodzą od katolików, lecz nie t. zw. towarzystw biblijnych i jeżeli uzyskały aprobatę papieża, albo gdy zawierają odpowiednie uwagi i są zatwierdzone przez odnośnego biskupa.

Indeks we właściwem tego słowa znaczeniu stanowi część drugą publikacyi watykańskiej i jest dokumentem nadzwyczaj wszechstronnym. Nietylko stoi on na wysokości wiedzy, gdyż argusowem okiem swem odkrywa prawie wszystko godne tu zamieszczenia, ale wylicza nadto rzeczy wydane jeszcze przed r. 1600, albowiem herezya i wolność myśli są stare jak świat. Więc są tu zakazane wszelkie prace broniące herezyi, schizmy, rozłamu w kościele itp. Dalej następują wszelkie dzieła treści lubieżnej. Nie wyłączone są rzeczy klasyków starożytnych lub nowoczesnych. Następnie wspomniane są książki, podające w wątpliwość objawione powstanie Biblii. Oczywiście potępieni zostali autorowie występujący przeciwko hierarchii kościelnej. Spirytystów i szerzycieli zabobonów spotkała również anatema. Wystawiono pod pręgierz prace obrońców rozwodu małżeńskiego, wolnomularzy, zwolenników pojedynku i autorów opisujących samobójstwo. Wreszcie zakazane są wszystkie gazety, pisma peryodyczne i wydawnictwa wrogie religii katolickiej.

Co się tyczy cenzury duchownej, to kompetencyi jej podlegają wszelkie tłomaczenia Pisma Św., komentarze do niego, dzieła opowiadające o wizyach, proroctwach, cudach itp., dalej traktaty dotyczące obrzędów kościelnych i wykładu religii, wreszcie wszystko, co jest w związku z Biblią, teologią, historyą kościoła, prawem kanonicznem i etyką. Duchowni zaś są obowiązani przedstawić biskupowi wogóle wszystko, cokolwiek zamierzają ogłosić.

Z zakazu czytania książek umieszczonych w Indeksie są uwolnione niektóre osoby. Tak np. ci, co studyują teologię, mają prawo przechowywać u siebie wszystko, o ile we wstępie lub uwagach niema napaści na katolicyzm.

W razie, jeśli profesorowie teologii zamierzają studyować dzieła kacerskie w celu polemiki literackiej, to są obowiązani zasięgać zezwolenia władzy, a jest nią Watykan; tylko na krótki czas mogą również biskupi uwalniać od przepisów odnośnych. W każdym razie jest tu nakazana wielka ostrożność i pewna powściągliwość.

Za przekroczenie przytoczonych rozporządzeń tj. za studyowanie, przechowywanie, ogłaszanie lub obronę dzieł kacerskich są wyznaczone rozmaite kary, których najwyższy szczebel stanowi ekskomunikacya.

Każdy katolik jest, w myśl indeksu, obowiązanym denuncyować osoby wykraczające przeciwko ustawie indeksowej. Rektorowie uniwersytetów nietylko nie są wyłączeni z tego obowiązku ale ze szczególniejszym naciskiem w tym razie zaznaczeni. Nazwisko donosiciela pozostaje raz na zawsze tajemnicą władzy.

Przyjrzyjmy się teraz autorom wystawianym pod pręgierz przez Indeks. Z filozofów spotykamy tu ni mniej ni więcej tylko takie nazwiska jak Kartezyusza, Spinozę, Hume'a, Kanta i Comte'a. Niełaska spotkała również Malebranche'a, nabożnego biskupa Berkeley'a, Hobbesa, Locka, Giordano Brunona i wszystkich encyklopedystów, jako to: Holbacha, Diderota, D'Alemberta, Voltaira, Rousseau. Nie zapomniano również o Montaigne'u i Montenskiuszu.

Zachodzi pytanie, co właściwie ma czytać prawowierny filozof katolicki, skoro się wykreśli z listy jego studyów wspomnianych wyżej największych myślicieli nowoczesnych?

Niemniej zaszczytne nazwiska spotykamy wśród wyklętych historyków. Obok Voltaira znajdują się na indeksie tacy koryfeusze jak — pomyśleć tylko — Gibbon, autor nieśmiertelnej pracy o upadku państwa rzymskiego, Ranke, Mignet, Renan, Burnet. Z innych dziedzin znakomitych myślicieli, jak Erazm Darwin, dziadek Karola Darwina, prawnik Beccaria, autor słynnej pracy „Dei delittie dell e pene,“ fizyolog Burdach, twórca prawa międzynarodowego Hugon Grocyusz itd.

Z beletrystyki niedozwolonej przez Indeks można wymienić dzieła Jerzego Sanda, Balzaca, Eugeniusza Sue, Zoli, obu Dumasów, Wiktora Hugo („Misérables,“ „Notre Dame“), Flauberta, Heinego i Lenaua.

W tym, że się tak wyrażę „Poradniku dla czytających książki“ nie ominięto żadnej narodowości europejskiej, żadnej nauki, żadnej dziedziny twórczości umysłowej ludów europejskich. Jest to katalog „Biblioteki najcelniejszych utworów“ w prawdziwem tego słowa znaczeniu. *R.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Farys.

Ze sprawy wrzesińskiej wyszedł naprzód Jeremiasz, a po nim wyjechał Farys. Pierwszy na swej żałosnej lutni pobrzękuje już bardzo cicho, ale zato drugi grzmi coraz silniej: „Pędź lataweze białonogi, góry z drogi, lasy z drogi“! Do wzmocnienia tego pędu i krzyku przyczyniła się wielce *Gazeta Polska*, która zebrała i ogłosiła szereg wynurzeń przemysłowo-handlowych, stwierdzających możność i potrzebę naszych wyzwolin z zależności ekonomicznej od Niemców. Wprawdzie dziś, przestraszona nieoczekiwanym skutkiem swych zabiegów, woła: „Prrr!“ i „Powoli, na miłosierdzie boskie, powoli!“; ale ani rumak nie zwalnia biegu, ani jeździec nie słucha przestróg. Pierwszy „ciska błyskawice nóg białych polotem,“ drugi urąga zarówno sępowi ze „lśniącymi szpony,“ jak ostrzegającym go trupom karawany, która zginęła w piaskach pustyni. Nam taka wichrowa jazda zawsze się podoba. Ona bardziej, niż mozolny i wytrwały pochód, przekonywa nas, że przed Farysem istotnie góry i lasy ustąpią z drogi, a huragany znikną, czyli, że społeczeństwo nasze wytrwa w zapale walki ekonomicznej z Niemcami, że nie będzie od nich niczego kupowało, że wkrótce, może jeszcze w tym ro-

ku, wytworzy swój własny przemysł lub posiłkować się będzie innym, niegermańskim - itd. Podczas gdy jedni wierzą, że niedługo w całem naszem gospodarstwie ekonomicznem nie będzie nawet złamanej szpilki niemieckiej, drudzy cieszą się, że za kilka miesięcy już zaczną zgarniać do swych kieszeni miliony rubli, które odpływały do Niemiec. A będzie tych milionów dużo! Bo jeżeli chłopskie kurty i obrazy świętych, które przecież mogą być wyrabiane na miejscu, sprowadzamy z Wrocławia, a nasienie sosny, która wielkimi lasami obrasta nasz kraj — z Tabarcu w Turyngii, to cóż dopiero mówić o innych produktach, wymagających większego nakładu uzdolnień i środków! Słowem, zstąpi na naszą ziemię kawał raju, dokona się nowe stworzenie nieistniejącego dotąd świata! Tak, to widok imponujący i piękny, który słusznie napełnia serca nasze rozkoszą. Ale dlaczego my weń wierzymy? Dlaczego dostrzegamy go tuż po za chmurą nędzy i niemocy dzisiejszej? Dlaczego spodziewamy się cudu, przeczącego ścisłym rachubom rozumu; dlaczego ani chwili nie wątpimy o naszej nagłej, prawie z dnia na dzień przemianie, o naszej sile, chęci i możności zrobienia w ciągu roku czy lat tego, czego nie zdołaliśmy zrobić w ciągu wieków? Dlatego, że — jak powiedział o nas Talleyrand a za nim wielu innych — „w tym szczególnym kraju rządzi tylko wyobraźnia."

Czy przy końcu roku bieżącego będzie się jeszcze dymił ten — jak go Niemcy ironicznie nazywają — „słomiany ogień" naszych antygermańskich ślubów i przysiąg; czy już za kilka miesięcy cztery wiatry nie podzielą się jego popiołami, podczas gdy my, zapomniawszy zupełnie o „dźwiganiu przemysłu rodzimego" i o zimowej na jego korzyść wyprawie, będziemy wysyłali obstalunki do Niemiec — cierpliwi zobaczą. Co do mnie, zrzekam się wróżby, zwłaszcza że błogosławić będę usypaną obecnie ze słów wulkaniczną górę nawet wtedy, gdyby z niej wyciekł wąziutki strumyczek gorącej lawy i że dziś chodzi mi o naszą wyobraźnię na innem polu.

P. Ochorowicz, właściwy Farys antygermańskiego rozpędu, kazał ustąpić z naszej drogi nietylko niemieckim ołówkom, ale nawet niemieckim książkom naukowym, bez których, według niego, doskonale możemy się obejść. Nie jest to wcale paradoks, przeciwnie, raczej niedopowiedziana prawda. My bowiem umiemy się obchodzić bez książek naukowych wogóle. Jesteśmy może jedynym narodem w świecie, który żyje, karmiąc niemal wyłącznie swoją wyobraźnię. Nasza historya literatury jest historyą poezyi, nasze epoki i zwroty w życiu duchowem są epokami i zwrotami w rozwoju fantazyi twórczej. Kochanowscy, Mickiewicze, Słowaccy— to są słupy ogniste naszego pochodu dziejowego. Ile razy odbywa się w Europie wystawa geniuszów wiedzy, przystrajamy mumie Śniadeckich i niesiemy ich na pokaz i dowód, że mamy kim się popisać, żywiąc przytem wielką urazę do głupiego świata za to, że im przyznaje tylko *praetium affectionis*. Po za tem pogotowiem ratunkowem i po za granicami rzetelnie uprawianej niwy historyograficznej, nauka nasza śpi, zdradzając życie tylko głośnem chrapaniem i mówieniem przez sen. Tak było zawsze — lepiej lub gorzej. Obecnie jest gorzej, ucichło bowiem nawet chrapanie i wykrzyki senne. Cokolwiek by powiedzieć można i należy dla usprawiedliwienia tego niskiego poziomu, na którym znajduje się nasza literatura naukowa, pozbawiona ognisk, rozpościerających wszędzie jej promienie, zaprzeczyć trudno, że w samej naturze naszego umysłu nie posiada ona ani silnych uzdolnień, ani gorących umiłowań. Jest to dla nas złe konieczne, dziedzina, w której nie umiemy obracać się i smakować. Tylko od czasu do czasu budzi się w nas bądź wyrzut, bądź świadomość potrzeby i chęć zaspokojenia czczości — i wtedy rzucamy się gwałtownie do czytania książek naukowych, przeważnie tłomaczonych, zwłaszcza oślepiających nas blaskiem nowych, śmiałych teoryj. Tak było w okresie darwinizmu. Od lat dwudziestu, jeżeli usuniemy, jako zbyt specyalną, bakteryologię, nie wstrząsnęła nami żadna podobna teorya. To też wiedzę zawiesiliśmy na haku, poświęcone jej wydawnictwa ziewają na półkach księgarskich, a ogół kąpie się w morzu beletrystyki. Daleko bardziej, niż poprzednio pochodzenie człowieka, przemiana gatunków, dobór naturalny, prawo rozwoju, zajmują nas dziś nastroje w sztuce, modernizm, symbolizm, dekadentyzm, a przewodnikiem, doradcą i mistrzem życia nie jest filozof lub badacz, lecz artysta. Na nieszczęście pora obecna, u nas od lat kilku, w Europie od kilkunastu, jest nietylko czasem wszelkich idei, ale także karnawałem bzików i satyryatów. Pod nazwą „świeżych prądów," które mają być porannymi wietrzykami przed wschodem słońca i oczyszczać duszne powietrze nocy z miazmatów, przelewają się wilgotne, gęste mgły, wznoszą się zgniłe opary i płyną fale cuchnących wyziewów. Powstały w literaturze knajpy i towarzystwa umysłowych opiumistów, którzy odurzają się dymem zabójczego narkotyku, a niszcząc nim własne dusze, rzucają w cudze, zwłaszcza młode, chorobliwą malignę swoich bezładnych majaczeń. Obłęd, który już pokłócił się i rozbratał z rozumem, ale jeszcze nie zamieszkał w szpitalu, porywa poezyę w szalone pląsy i tańczy z nią aż do bezprzytomności. Pryapizm, który całą mądrość i cały smak życia zamknął w namiętności płciowej, urządza w literaturze nieprzerwane procesye i święta bachiczne. A tak dumna jest postawa, tak rozkazująca mowa tych psychopatów, że tłum bierze ich za natchnionych proroków nowej ery, a umysły bojaźliwsze i słabsze nie śmią wyłamać się z pod ich teroru. Wstyd im przyznać się do moralności i zdrowego rozsądku. Jedynem lekarstwem na takie choroby jest nauka. Niestety, jest ona dla nas tylko lekarstwem, przykrem, gorzkiem, unikanem, nie zaś pożywieniem przyjemnem i stałem. Wydawnictwa naukowe obecnie w wielu gałęziach wiedzy ledwie żyją, nie owocują lub uschły zupełnie: cofnął się od nich kapitał nakładowy, cofnęły się siły robocze, przestraszone niepowodzeniem lub zniechęcone obojętnością. Mamy znowu w piśmiennictwie półmrok, w którym roją się upiory i widma straszne, kuszące, rozpustne, a przedewszystkiem nieuchwytne, w którym odprawiają się dzikie sabaty przy pochodniach z „człowieczego łoju." W tym mroku również odbywają się miłosne schadzki przeróżnych wiarołomników i wiarołomnic, często wstrętne a zawsze tak nudne, że ich widoki jeszcze bardziej obmierzły nam swoją jednostajnością, niż grzechem. Co to za okropna rzecz słuchać ciągłe sprośnych bajek o środkowych kręgach ciał ludzkich!

Nie wierzę w to, ażeby jakiekolwiek, bodaj najwymowniejsze kazania poprawcze, a nawet wypadki życiowe zdołały zmienić naturę społeczeństwa. Ale wierzę, iż przynajmniej do pewnego stopnia można na nią oddziałać w kierunku pożądanym. Więc uderzajmy ciągle w dzwon, wzywający do zapalania świateł wiedzy. Naród nasz pozostanie ciągle Farysem, śmiałym, bohaterskim, niebacznym na doświadczenie własne i cudze, lekceważącym przeszkody i niebezpieczeństwa, zaufanym w junacką siłę swego pędu, posłuszniejszym wyobraźni, niż rozumowi — na to niema rady. Starajmy się jednak przyciąć skrzydła jego fantazyi a przyprawić je mądrości. Starajmy się o to niezmordowanie, pomimo że ów Farys ze swojemi dobremi i złemi właściwościami jest wielce szlachetny, miły, sympatyczny, tak sympatyczny, że nawet obcy, którzy go rabowali lub dusili, musieli się w nim rozkochiwać.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ZAOCEANOWA TELEGRAFIA BEZ DRUTU.

Elektrotechnika święci nowy tryumf: Marconiemu, wynalazcy telegrafii bez drutu, udało się przesłać pierwsze sygnały przez ocean Atlantycki pomiędzy Anglią i Ameryką.

Zanim opiszemy to epokowe doświadczenie, musimy przypomnieć wytyczne punkty rozwoju tego nowego środka komunikacyi.

Przedewszystkiem zaznaczamy, że wynalazek Marconiego jest oparty na teoretycznych pracach kilku pierwszorzędnych uczonych, mianowicie Hertza i Branlyego. Opisywaliśmy w swoim czasie urządzenie, użyte przez p. M. Jest ono w gruncie rzeczy bardzo proste: Na stacyi wysyłającej depesze znajduje się silna cewka indukcyjna, dająca iskry, które, przeskakując pomiędzy metalowemi kulami, zanurzonemi w oleju, wytwarzają t. zw. fale elektryczne, rozchodzące się, tak jak światło we wszystkich kierunkach. Zmysły nasze nie mogą wykryć bezpośrednio obecności fal tego rodzaju w powietrzu, ale istnieje mały aparacik, służący do tego celu, a wynaleziony przez Marconiego. Składa się on z rurki szklanej, z próżnią barometryczną pośrodku. W rurkę tę wlutowano dwa niestykające się z sobą druty, zakończone blaszkami, równolegle do siebie ustawionemi, i prostopadłemi do osi cylindra. Przestrzeń pomiędzy blaszkami wypełniają drobne opiłki metalowe. Taki aparacik nazwano „cohereur" (w naszym języku terminu tego nie przetłomaczono dotąd w sposób zadawalający). Przepuszczając, a raczej usiłując przepuszczać prąd elektryczny przez taki przyrząd, przekonywamy się, że jest on bardzo złym przewodnikiem, i trzebaby niezmiernie wysokiego napięcia ażeby pokonać opór, jaki posiadają opiłki. W praktyce więc cohereur nie przepuszcza prądu z bateryi galwanicznej.

Skoro jednak uderzy weń fala elektryczna, wysłana z t. zw. „wibratora" Branlyego, połączonego z drutem zawieszonym na wysokim maszcie, postać rzeczy natychmiast się zmienia: opiłki układają się w rurce w szczególny sposób, tak iż stają się dobrym przewodnikiem dla prądu.

Ażeby zatem wykryć obecność fal elektrycznych w powietrzu, trzeba włączyć w jeden obwód: wzmiankowany przyrząd, bateryę galwaniczną i, dajmy na to, dzwonek elektryczny. Skoro w cohereur uderzy fala, prąd przejdzie przez niego i przez dzwonek, który zacznie dzwonić i będzie bezustanku dzwonił, dopóki nie doprowadzimy opiłków do normalnego stanu. Daje się to łatwo osiągnąć przez lekkie uderzenie w szklaną rurkę, zawierającą opiłki. W używanych dziś aparatach czynność tę wypełnia i dzwonek, poruszony prądem, z tej samej bateryi, która jest połączoną z cohereurem.

Nie można jednak stosować wprost prądu, przepływającego pod działaniem fal elektrycznych przez przyrząd, gdyż jest on za słabym do wprawienia w ruch zwyczajnego aparatu telegraficznego. Trzeba się uciec do pośrednictwa powszechnie znanego „relais," dopiero prąd wprowadzony do obwodu przez relais porusza aparat. Łatwo zrozumieć, że aparat ten będzie kreślił

na odwijającej się wstędze papierowej linię, dopóki prąd będzie przepływał przez cohereur, to znaczy, dopóki fale elektryczne będą biegły w otaczającej przestrzeni. Ponieważ zaś na na stacyi wysyłającej można za pomocą manipulatora regulować dowolnie fale, to znaczy puszczać je i powstrzymywać w żądanych odstępach czasu, przeto aparat na stacyi odbierającej depeszę będzie, w zależności od tego, kreślił naprzemiany kreski, albo kropki.

Z kropek zaś i kresek, jak wiadomo, składa się alfabet używany w telegrafii.

Urządzenie to jest więc dość proste, a jeżeli kto inny przed Marconim nie wynalazł telegrafii bez drutu, to dlatego tylko, że nie istniał dostatecznie czuły na fale elektryczne przyrząd, jakim jest właśnie wyżej opisany cohereur.

Z początku nie umiano przesyłać sygnałów na większe odległości, powoli jednak zoryentowano się, od czego zależy przestrzeń, na jaką sięgają fale. Mianowicie przekonano się, że trzeba na stacyi wysyłającej używać jaknajwyższych masztów z drutami, które przyjmują drgania od wibratora i wysyłają je w przestrzeń. Przekonanie to zachwiało się w ostatnich czasach, ale na razie doprowadziło do znacznych postępów.

Linie telegraficzne, obywające się bez przewodnika metalicznego, zakładano jedne po drugiej: połączono w ten sposób: Helgoland z lądem stałym, Irlandyę z Anglią, Anglię z Francyą (Folkestone z Boulogne sur Mer) przyczem odległość pomiędzy stacyami wynosiła 51 km. Wimereux z Chelmsfordem, na odległość 150 km., wreszcie Lizard z wyspą Wight. Ta ostatnia linia jest najdłuższa z pomiędzy wszystkich dotychczasowych, mierzy bowiem 300 km. (naturalnie mowa tutaj o linii powietrznej).

Zjawiły się też inne systemy telegrafowania bez drutu, współzawodniczące z systemem Marconiego; dobrym jest, jak się zdaje, aparat Ducreta, lecz nie możemy tutaj dla braku miejsca wdawać się w jego opis. Inne systemy mają mało stron nowych i są w gruncie rzeczy, odmianą aparatu Marconiego. Aliści dochodzi nas wiadomość o próbach, przedsiębranych w grudniu r. z. nad przeprowadzeniem komunikacyi telegraficznej bez drutu pomiędzy Ameryką a Europą. Jeżeli się to stanie, to Marconi pobije wszystkich swych współzawodników.

Oto w jakich warunkach odbyły się te ciekawe doświadczenia:

Stacya wysyłająca znajdowała się w miejscowości Poldhu, położonej w południowo-zachodniej okolicy Anglii, nad brzegiem morskim, stacya odbierająca zaś w Newfounlandzie w Ameryce północnej. Odległość pomiędzy tymi dwoma punktami wynosiła 3000 km. W Poldhu ustawiono 20 masztów zwanych z francuska antennami, co na polskie dałoby się chyba przetłomaczyć czułkami albo mackami. Maszty owe dźwigają druty, połączone z wibratorem, zasilanym przez potężne iskry, wydobyte z wielkiej cewki indukcyjnej. Wogóle spotęgowano stokrotnie sprawność wszystkich przyrządów, dla zapewnienia najkorzystniejszych rezultatów.

Niezmiernie silne fale elektryczne przebiegłszy ocean Atlantycki, były przyjmowane już nie przez maszt z drutem, ale przez drut, przyczepiony do wielkiego latawca, wypuszczonego na 135 m. w górę, stamtąd zaś szły do stacyi odbierającej, gdzie znajdował się przy aparatach sam Marconi.

Umówiono się, że w pewnych odstępach czasu stacya angielska będzie wysyłała sygnał, składający się z jednej tylko litery, mianowicie S, którą w alfabecie Morsea wyrażają 3 punkty. Wybór to niezbyt dobry, gdyż kropki sygnalizuje się krótkiem, chwilę zaledwie trwającem wypuszczeniem fal elektrycznych. Kreski łatwo byłoby spostrzedz w Ameryce, przy jednakowem natężeniu fal. Mniejsza jednak o to.

Otóż Marconi, siedząc przy aparatach zauważył przesyłane sobie z Angli sygnały, co go miało niezmiernie uradować.

Amerykańskie dzienniki rozniosły wieść tę po całym świecie; trzeba jednak przyjmować ją z pewnemi zastrzeżeniami. Wiadomo, że wiele statków zaopatrzono w przyrządy do telegrafowania bez drutu, celem porozumiewania się z niezbyt odległym lądem stałym, podczas podróży. W ten sposób w Nowy rok zeszły parowiec „Księżna Klementyna," wypłynąwszy z Ostendy i spotkawszy na morzu zagrożoną barkę szwedzką „Medora," zdołał dla niej wezwać pomoc z Ostendy, w postaci holownika, który też szczęśliwie trafił na miejsce wypadku, oznaczonem ściśle w depeszy i ocalił tonący statek. Czyż więc nie mogło się zdarzyć, że sygnały, spostrzeżone w Ameryce przez Marconiego, pochodziły od jakiego statku, przepływającego w odległości kilkudziesięciu kilometrów? Nie jest też wykluczonym domysł, że wyładowania elektryczności atmosferycznej, wprawiły w ruch aparaty, co na zasadzie doświadczeń dawniejszych, może się zdarzyć. Na razie więc trzeba się uzbroić w cierpliwość i czekać, aż dalsze próby usuną wszelkie wątpliwości. Podobno Marconi wybiera się do Europy na wyłącznie do jego rozporządzenia oddanym okręcie, i zamierza porozumiewać się z niego, bez przerwy, o ile się da, z przyłądkiem Breton w Kanadzie.

Jeżeli się pokaże, że statek, płynący na pełnem morzu, może się porozumieć w każdej chwili z ziemią, odległą na parę tysięcy kilom., to nastąpi olbrzymi przewrót w telegrafii. Kable podmorskie, zakładane z takiemi trudnościami, które pochłonęły setki milionów dobrze dziś procentującego kapitału, okażą się zbytecznymi. Nic więc dziwnego, że kompania Anglo - amerykańska, właścicielka kilku kablów, założyła w imię monopolu, protest przeciwko próbom Marconiego.

Protest ów jednak pozostał bez skutku, a nawet zrobił Marconiemu wspaniałą reklamę.

Teraz rodzi się kwestya, w jaki sposób fale elektryczne przenoszą się z jednej stacyi do drugiej, co jest w tym wypadku prawdziwym przewodnikiem, powietrze czy ziemia.

Jeżelibyśmy przypuścili, że fale rozchodzą się, podobnie jak światło po liniach prostych to musielibyśmy konsekwentnie dojść do wniosku, iż krzywizna ziemi kładzie im stanowczą tamę. Używając tedy czułków wysokich na 50—60 metrów, moglibyśmy przesyłać depesze nie dalej jak na 112—136 km. Tymczasem maszty tej wysokości pozwalają telegrafować na 300 km. a nawet dalej. Ażeby wytłomaczyć ten dziwny napozór fakt, utworzono hypotezę, według której fale elektryczne nie rozchodzą się po liniach prostych, lecz po tak zwanych powierzchniach ekwipotencyonalnych. Wiadomo, że w miarę oddalania się od powierzchni ziemi, napięcie elektryczne w powietrzu wzrasta, chociaż nie zupełnie stale, można znaleźć w głębi atmosfery szereg poziomów o jednakowym potencyale, które też nazwiemy płaszczyznami ekwipotencyalnemi. Może te płaszczyzny tworzą coś w rodzaju koncentrycznych, nieregularnych warstw, otaczających kulę ziemską. Według hypotezy, będącej w mowie, fale elektryczne rozchodzą się właśnie po tych warstwach, i dlatego sięgają na znacznie większą odległość, aniżeli się spodziewano.

P. Villot podaje odmienną nieco hypotezę: mianowicie, że fale elektryczne rozchodzą się nie w powietrzu, ale w łonie ziemi, gdzie także znajdują się poziomy jednakowego napięcia elektrycznego.

W gruncie rzeczy, telegrafię bez drutu odkryto równocześnie z telegrafią zwyczajną. Z początku, jak wiadomo, używano podwójnego drutu do przesyłania prądu, to znaczy, że przewodniki telegraficzne tworzyły zamknięty obwód. Przekonano się jednak, że drut powrotny daje się doskonale zastąpić ziemią, która w tym wypadku odgrywa rolę przewodnika metalicznego. Co najdziwniejsze, odbywa się przytem wszystko tak, jak gdyby prąd znał drogę powrotną do bateryi, z której go wypuszczono. Rzecz jasna, że jest to złudzenie, prąd nie powraca wcale do bateryi, lecz ziemia odgrywa tu rolę, której zadawalająco nie zdołaliśmy sobie dotychczas wytłomaczyć. Próbowano nawet obyć się i bez drugiego przewodnika, lecz to się nie udało, dla tej prostej przyczyny, że nie znano sposobu przenoszenia fal elektrycznych na odległość i że baterya galwaniczna jest niedostatecznem źródłem tych fal. Kiedy jednak Hertz wykazał, jak się tworzą owe fale, jak je można przesyłać, telegrafia bez drutu stała się odrazu możliwą i wreszcie, dzięki ulepszonemu cohereurowi Marconiego, stała się faktem dokonanym i weszła w praktykę.

Badając sposób rozchodzenia się w przestrzeni fal elektrycznych, p. Villot wypowiedział zdanie, że przewodnikiem nie jest tu powietrze, lecz ziemia albo ocean. Za jego przypuszczeniem przemawia fakt, że sygnały tem dalej sięgają, im jest lepsze połączenie z ziemią drutów, przyczepianych do masztów i skomunikowanych z wibratorem, czyli z przyrządem wytwarzającym drgania elektryczne. Otóż p. Villot tłomaczy nam sprawę w następujący sposób: właściwym przewodnikiem jest ziemia albo morze, powietrze zaś, znajdujące się pomiędzy stacyami, odgrywa taką samą rolę, jak ziemia w zwyczajnej telegrafii, czyli jest przewodnikiem drugorzędnym.

Jakże więc należy postępować, żeby spożytkować pośrednictwo ziemi w telegrafii albo w telefonii bez drutu? Poprostu znaleźć pomiędzy dwiema danemi stacyami wspólny dla obu punktów poziom elektryczny, łącząc następnie z jakiemkolwiek źródłem elektryczności jeden punkt tego poziomu, otrzymujemy w drugim punkcie sygnały elektryczne.

Zarząd poczt i telegrafów we Francyi wydelegował komisyę, złożoną z kilku pierwszorzędnych uczonych, która ma zbadać tę kwestyę. Określi ona naturę gruntu pomiędzy dwiema jakiemiś stacyami, pokłady geologiczne, wystąpujące w danej okolicy, wykopie studnie celem oznaczenia położenia rozmaitych poziomów elektrycznych. Elektroskop odda tutaj ważne usługi.

Hypotezę Villota poparły dokonane w roku zeszłym w Paryżu doświadczenia p. Pisulewskiego, oficera wojsk rosyjskich. Używając ziemi, jako wyłącznego przewodnika, potrafił on przesyłać depesze na odległość kilkuset metrów. Widzimy więc, że kwestya rozchodzenia się fal elektrycznych w przestrzeni, pomimo licznych hypotez, nie przedstawia się dotąd zupełnie jasno. Praktyka wyprzedziła w tym wypadku teoryę i nauka musi szukać wyjaśnienia stwierdzonych już faktów.

Jeżeli doświadczenia Marconiego istotnie dały powyżej zaznaczone wyniki, to może na ich podstawie dojdziemy wreszcie do rozwiązania tej zagadki.

W. U.

NOTATKI NAUKOWE.

Szymon Askenazy: *Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem, 1800—1900.* Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1901, 12-o, str. 68.

Koniec stulecia, zagranicą i u nas dał powód do różnych wydawnictw, obejmujących cało-

kształt dziejów jednego narodu lub całej cywilizowanej ludzkości w ciągu ubiegłego wieku. Między innemi na samym początku XX stulecia w odcinku *Kuryera Warszawskiego* ukazywały się raz wraz fejletony pod powyżej przytoczonym tytułem jednego z najbardziej utalentowanych naszych młodych historyków, p. S. Askenazego. Zawierały one w formie możliwie zwięzłej przegląd ważniejszych wypadków politycznych w Królestwie w przeciągu stulecia. Teraz widzimy je, ujęte w broszurę o kilkudziesięciu stroniczkach i podzieloną na następujące rozdziały, zgodnie z dawniejszym podziałem na fejletony: 1) czasy pruskie (1801 — 1806); 2) Księstwo Warszawskie (1807 — 1813); 3) Królestwo Kongresowe (1813—1831); 4) namiestnictwo hr. Paszkiewicza (1831—1855); 5) czasy przejściowe (1855 — 1863); 6) namiestnictwo hr. Berga (1863—1880); 7) czasy najnowsze (1880—1900).

Sposób i cel, w jakim powstały fejletony, odbił się ujemnie na broszurze; p. Askenazy jest historykiem nadto wytrawnym, aby mógł źle lub niesumiennie wywiązać się ze swego zadania; ale pomimo to „Sto lat zarządu" nie może zadowolić czytelnika. Autor za wiele musiał się tu liczyć z warunkami, w jakich pisał: streszczał się, ścieśniał ramy, aż wreszcie został sam tylko szkielet faktów snutych, ułożonych po kronikarsku, chronologicznie. Autora „Przymierza polsko-pruskiego" stać było na jakiekolwiek oświetlenie zwartego szeregu zdarzeń; i takie dzieło byłoby dopiero prawdziwie wytworne.

* *

Walery Przyborowski: *Z przeszłości Warszawy*, szkice historyczne. Serya druga.—*Legendy Warszawskie.* Warszawa, nakład księgarni A. G. Dubowskiego 1902, 8-o, str. 261, cena rb. 1 kop. 20.

Można bez przesady powiedzieć, że Warszawa nie ma swojej przeszłości legendowej. Złożyły się na to różne przyczyny: do śmierci ostatnich książąt mazowieckich nie zajmowała ona wybitnego stanowiska w życiu politycznem narodu, stolicą została względnie późno, wytrzymała od czasów Jana Kazimierza kilka morderczych oblężeń, wreszcie, co najważniejsza. wcześnie zaczęła się przedzierzgać w miasto nowożytne: na miejsce dawnych „pałaców," starożytnych kamienic, kościołów nawet, stają niezgrabne koszary mieszkaniowe i fabryki, a jednocześnie znikają i legendy, przywiązane do tych murów, co jeszcze kule szwedzkie pamiętały.

P. Przyborowski, zauważywszy tę ewolucyę, postanowił utrwalić podania warszawskie i zebrał je w powyżej wymienionej książce. Są tu rzeczy ciekawe i drogie sercu każdego warszawiaka, ale znaczenia naukowego nie posiadają prawie wcale. Nie skorzysta z nich ani historya, gdyż legendy te, rzecz prosta, nie wytrzymują krytyki ścisłej, ani folklorystyka, gdyż prócz bardzo niewielu (jak „Złota kartka," „Trzy krzyże") wszystkie inne są pochodzenia czysto literackiego i z twórczością ludową nie mają nic wspólnego. Niektóre z nich są poprostu fragmentami z dziejów Warszawy; pierwiastku podaniowego brak w nich najzupełniej.

Pomimo to jednak „Legendy Warszawskie" są bardzo miłe i mogą być z przyjemnością czytane z takiem uczuciem, z jakiem wpatrujemy się w spłowiałe dagierotypy osób dawno zmarłych, a sercu naszemu bliskich.

H. G.

LITERATURA I SZTUKA.

O DRAMACIE „PIĘKNYM."

Ewolucya naszej twórczości dramatycznej zatrzymała się na pojęciu piękna. Wszelki objaw sceniczny dramatopisarz przepaja estetyką, zamiast tchnąć burzę*). Nie jest ewangelistą— lecz estetą. Pogardza walką z człowiekiem czy bóstwem, tragedyą duszy, nienawidzi refleksyi, rewolucyi i filozofii — a rozkoszuje się sytuacyą, kostyumem, faktem historycznym, „Zawiszą Czarnym," „Zaczarowanem kołem" „Dyaną," „Nawojką." I powstaje dramat „piękny," spokojny, wzniosły, patetyczny...

Radość ogólna... Publiczność i dziennikarz w zachwycie. Stawia się horoskopy rozkwitu działu dramatycznego na swojskim gruncie... wyczekuje Mesyasza, nawadnia szpalty dzienników frazesami o „tym, co przyjdzie," „co pchnie dramat na nowe tory..." Od czasu do czasu okrzyk tryumfu: jest!. jest oczekiwany!... wkrótce potem westchnienie: nie... jeszcze go niema... Ale będzie! będzie z pewnością; wszak tyle nowych powstaje dramatów, wszak do dramatu garną się wszyscy „nasi wielcy..."

Patrząc z ubocza na te podrygi, na ten taniec dokoła ideału niedoścignionego, nie mogę się opędzić myśli: wszak to, co zwie się dramatem, a co tegoczesność na tem polu wydaje, nie jest niczem innem, jak tylko zastojem.

I smutniejszy jestem niż ci, którzy co kilka miesięcy obwołują narodziny dramatu polskiego.

* *

Dramat „piękny" jest objawem reakcyjnym w dwu kierunkach. *Reakcyą przeciw krytycyzmowi i przeciw dążności, mającej na celu utorowanie wyboju tym pierwiastkom twórczym, które Nietzsche nazwał dyonizyjskimi.*

Dramat „piękny" jest przeciwdziałaniem wobec coraz bardziej się rozwielmożniającego krytycyzmu spraw społecznych. Proces ten w ogólnych zarysach miał taki przebieg. Weryzm wywarł ten skutek, iż sprowadził do kryteryum oczywistości wszystkie te pierwiastki twórcze, które dotąd się pławiły w słonecznych uściskach epigonów romantyzmu. Sprowadziwszy „rzecz do miary rzeczywistości, zaczęto się jej przypatrywać ze strony krytyki analitycznej, wyszukiwać wady i zalety, reformować stosunek części do siebie i całości, słowem tworzyć kierunek, którego symbolem jest Ibsen, a karykaturą dramat sędziów i mamek Brieuxa.

Ruch ten spowodować musiał naturalnym trybem reakcyę. A jest nią właśnie apolliński „piękny" dramat, czarujący w formie zewnętrznej, jałowy w treści, scharakteryzowany niedwuznacznie powiedzeniem Rostanda, iż obojętnem mu jest, jak jego dramat będzie przez wykonawców pojęty, byle aparat zewnętrzny był dostatecznie pięknym.

Dramat taki pociąga za sobą pewne konsekwencye, psychologicznie łatwo wytłomaczalne. Najważniejszą z nich jest bojaźń i ucieczka przed współczesnością, a skłonność do obierania tematów jak najdalej odbiegających od stosunków tegoczesnych. Ucieczka ta powoduje przeświadczenie, iż im dalej w przeszłość się posuwa temat obrany, tem łatwiejszem staje się jego bezkrytyczne ucieleśnienie. I tu właśnie tkwią istotne cechy dramatu „pięknego." Jego krzewicielom odmawiam wyobrażeń twórczych, a przypisuję jeno odtwórcze. Nie widzą oni form przyszłych t. j. nie mają przeczucia jutra, nienawidzą teraźniejszości i jej krytyki, cofają się więc wstecz, w czasy zamierzchłe, dostarczające gotowego materyału, krytyką całych wieków oczyszczonego z wszelkich naleciałości; materyał ten wypada tylko odtworzyć, to jest ożywić go, tchnąć formalne, zmysłowe piękno. Z tego w dalszej konsekwencyi wynika, iż dramat taki musi być sztuką naśladowczą, iż zasadza się jedynie na możliwie pięknem, ale nieprawdziwem odtworzeniu życia danej epoki, iż jest tylko ilustracyą słowną, ubraną w formę dramatyczną.

Dramat „piękny" jest reakcyą przeciw coraz bardziej ujawniającemu się, dyonizmowi w sztuce, przeciw dążeniu, aby twórca dramatyczny doprowadziwszy swe napięcie psychiczne do sfer, gdzie — jak powiada Słowacki—cele ostateczne ze sobą graniczą—w dramacie ucieleśniał owe momenty, w których dusza się uzewnętrznia; aby wizyjną swą mocą sięgnąwszy w tajniki bytu, tajemnicom tym dał wyraz pochwytny, a suggestywną swą siłą udzielił ich tym, których siła wizyjna nie przekracza granic nakreślonych okiem zmysłowem. W tem to znaczeniu Nietzsche ochrzcił tragedyę grecką mianem dyonizyjskiej. „W najwyższym stopniu sprowadza ona — powiada Nietzsche — u człowieka wzmożenie zdolności symbolicznych; niewyczerpane dotąd popędy dążą do wyboju, bo zdarcia zasłony Maji, do stopienia się w jedność z geniuszem rodu ludzkiego, ba, nawet z wszechprzyrodą. Oto wyłania się nowy świat, oto zobaczycie symbolikę rzeczy, ust, twarzy, głowy, oto rozpocznie się taniec, wprawiający członki w rytmiczne falowanie. Wtedy to następuje gwałtowny rozrost symbolicznych sił muzyki, rytmiki, dynamiki i harmonii. Aby pojąć to rozpętanie mocy, człowiek musi się znaleźć na wyżynie, na której się one uzewnętrzniają: dlatego też zdołają zrozumieć piewcę tylko pokrewne mu duchem istoty."

I przeciw temu to dramatowi dyonizyjskiemu, dramatowi „szału i upojenia" reakcyą jest apolliński dramat „sennych marzeń." Następstwem tego pojmowania jest ów spokój, jaki przebija zarówno z jego akcyi wewnętrznej, jak i zewnętrznej. A dalej przerost tej ostatniej na niekorzyść pierwszej. Bo o ile tragedya grecka doprowadziła do jaknajbardziej ścieśnionego zakresu ów aparat zewnętrzny tak, iż nawet w doborze tematów zatraciła poczucie pomysłowości (tematów dramatycznych mieli Grecy przecież bardzo mało, a i te, które były, wciąż się powtarzały w rozmaitych odmianach), o ile naprzykład Ibsen ten aparat zdarzeń zewnętrznych uprościł, tj. większą jego część wyrzucił po za scenę, albo właściwy dramat na scenie najczęściej przenosił w czas poprzedzający, o tyle dramat „piękny" zasadza się na silnem uzewnętrznieniu akcyi, tak, iż w pogoni za tem dążeniem zatraca nieraz potrzebę zaznaczania akcyi wewnętrznej, a całą swą pracę poświęca na drobiazgowe stylizowanie.

A dalej: brak pierwiastków dyonizyjskich w dramacie „pięknym" powoduje również zatratę wyższego oddziaływania słowa dramatycznego. Bo dramat ten—używam trafnego terminu niemieckiego — dostarcza tylko „Abbildung des Lebens," a nie stwarza „Steigerung des Lebens;" działa na oko, nie na duszę. Snuje przed okiem widza szereg obrazów zmysłowych; maluje rzeczywistość w barwach jasnych lub ciemnych; nastraja—w najlepszym razie — na ton smutku, czy wesela—

*) Wszystkie uwagi wypowiedziane w tym zarysie nie stosują się do Wyspiańskiego ani Przybyszewskiego, którzy zajmują stanowisko wyodrębnione w naszej twórczości dramatycznej.

ale nie wstrząsa, duchowego „ja" nie podnosi ani o cal ze sfery uśpienia, nie wywołuje w duszy widza tych niepochwytnych, a tak burzliwych oddźwięków, którymi odbrzmiewać musiała dusza widza, przyjmując w stanie niemal ekstatycznym zarówno szał Kassandry, jak i żale Elektry, zarówno wysiłki Hamleta, jak i upojenie Julii.

Bo dramat „piękny" jest owiany zimnem tchnieniem, a istotą jego spokój, celem tylko odzwierciedlenie życia, ideałem objektywność, środkiem piękno.

I tu ostateczna konsekwencya, wynikająca z pierwiastków dyonizyjskich w dramacie „pięknym"; jest on reakcyą przeciw indywidualizmowi w sztuce, przeciw Wagnerowi, Dostojewskiemu, Maeterlinckowi i tym wszystkim, dla których sam fakt, samo stwierdzenie objawów życiowych nie było ewangelią.

*

W ten sposób dałoby się psychologicznie uzasadnić zaistnienie dramatu „pięknego." Jest on objawem reakcyjnym w samej dziedzinie sztuki, a kompromisowym ze względu na stosunek sztuki i jej twórców do czytelnika czy widza.

Sam jednak fakt istnienia nie byłby ważnym. Boć przecież dzieło sztuki, noszące w swem łonie zarodki tak zabójcze, jak dramat „piękny," nie może samem swem istnieniem niczemu zagrażać. Ważnym jest jedynie ze względu na skutki, jakie może wywołać. Może bowiem ścmić swym zwodniczym blaskiem, swą jaskrawą zewnętrznością poczucie potrzeby czegoś więcej, niż stylizowane odzwierciadlenie życia w tworze dramatycznym. I dlatego należy wykazywać jego marność.

Bertold Merwin.

POEZYE

Życie sceptyka.

W pomroce, tonąc w wściekłych fal pieniste [śniegi,
Miotane pięścią burzy, czółno się chyboce.
W szał gniewu zamienione spokojne roztocze
Biją o wyszarpane cichej wyspy brzegi.

Na wyspie majak światła spokojne szeregi
Rzuca równo przed siebie. Tam gdzie blask mi- [gocze,
Czółno sili się dostać przez grzyw morskich [zbocze;
Fale się rozstąpiły—już blizko. Wtem zbiegi

Zdradziecko powracają i wodnemi szpony
Precz zrykiem odrzucają od wyspy zbawiennej.
I znów z fal tłuszczą walczy żeglarz zawiedzio- ny.

I miotać się tak będzie śród morskiej Gehenny,
Odrzucany od brzegu,—aż sił pozbawiony,
Spocznie, gdzie nocy wiecznej nie spłoszy blask [dzienny.

Wacław Rogowicz.

SPRAWY EKONOMICZNE

OBOWIĄZKOWE TOWARZYSTWA ROLNICZE.

(Dokończenie).

Cel towarzystw prawo określa jak następuje: „Poprawa moralnego i materyalnego położenia rolników przez rozwijanie ducha solidarności, wzajemne pouczanie się i pomoc, utrzymanie i wzmacnianie świadomości stanowej, reprezentacya interesów zawodowych, popieranie interesów gospodarczych." Środki zaś praktyczne do tego celu są następujące: pośrednictwo w kupnie rzeczy, potrzebnych do gospodarstwa, oraz w sprzedaży produktów, przyczem towarzystwa mają być specyalnie uwzględniane przy dostawach dla wojska; zakładanie wspólnych magazynów, śpichlerzy, piwnic itd., oraz wspólnych przedsiebiorstw, przerabiających produkty surowe młynów, piekarni itp.

Tak przynajmniej miało być. Nadanie takich czynności stowarzyszeniom *obowiązkowym wszystkich* rolników byłoby rzeczywiście krokiem ogromnej doniosłości, zarówno dla tego zasadniczego względu, że byłby to właściwie początek organizacyi produkcyi, jak i dla tego, że tymczasem, dopóki ta organizacya wytwórczości znajdowałaby się w rękach jednego stanu — producentów, nie państwa, jako organu całego narodu, musiałaby ona doprowadzić do wielce uciążliwego wyzysku spożywców. Ale na szczęście (zważywszy *pro* i *contra* nie można powiedzieć inaczej), sami agraryusze zlękli się tak doniosłego kroku, ze względu na zawarte w nim ryzyko; wobec tego, że należenie do towarzystw jest obowiązkowe dla wszystkich, zgodzono się, że towarzystwom muszą być wzbronione wszelkie operacye, mogące pociągnąć za sobą straty pieniężne. Projekt rządowy uległ zatem takim zmianom, że pośrednictwo w kupnie i sprzedaży odbywa się na rachunek mocodawców, i że towarzystwa mają na celu tylko powoływanie do życia i popieranie radami osobnych towarzystw dobrowolnych śpichlerzowych, młyńskich itd. Taka sama rola przypada im względem stowarzyszeń kredytowych, gield rolniczych, towarzystw ubezpieczeniowych od ognia, gradu, zarazy na bydło np. Mają one podejmować się pośrednictwa między rolnikami a bankami hypotecznymi: po tym punkcie obiecują sobie niektórzy agraryusze (dr. Grabmayr) bardzo wiele: zamianę długów hypotecznych na wieloletnie raty roczne, bez możności wymówienia kapitału. W zakres działania towarzystw wchodzi jeszcze: popieranie szkolnictwa fachowego, stacyj doświadczalnych, organizowanie wykładów; statystyka; *pośrednictwo w najmie, oraz regulowanie umów z robotnikami za pomocą wydawania formularzy kontraktowych itp.*; pośrednictwo w otrzymywaniu pomocy adwokackiej; urządzenie sądu polubownego między pracodawcami a najemnikami oraz między członkami towarzystw; popieranie komasacyi i melioracyj; wreszcie, współudział doradczy i informacyjny w ubezpieczeniu ludności pracującej na roli, od choroby i na starość, oraz wogóle — wypowiadanie zdania o wszystkich projektach i rozporządzeniach rządowych, dotyczących rolnictwa. Wszelkie instytucye publiczne zobowiązane są do udzielania towarzystwom różnych wskazówek danych.

Po takiem ograniczeniu kompetencyi, towarzystwa austryackie stają się bardzo podobnemi do izb rolniczych pruskich z r. 1894. Takie same prawie (w Austryi nieco liczniejsze) mają zadania, tak samo środków finansowych dostarczy im dodatek proporcyonalny do podatku gruntowego, którego procent, poniżej pewnego *maximum*, towarzystwa same oznaczają, a który ściągać dla nich będą podatkowe organy rządowe, co podkreśla jeszcze ich stanowisko uprzywilejowane. Jednak parlament wyraził życzenie, aby z początku przynajmniej rząd, udzielając zapomogi towarzystwom, zdjął z nich *odium* nakładania nowego podatku. Różnica polega na tem, że w Prusach mamy właściwe *izby rolnicze*, których członkowie wybierani są przez sejmiki powiatowe z właścicieli mających pewne minimum gruntu; w Austryi powstają zaś towarzystwa, do których cała ludność ma należeć na prawach członków. Napozór wygląda to demokratyczniej, ale tylko napozór, bo teraz wchodzą w grę — sejmy krajowe.

Prawo, uchwalone przez parlament, jest tylko t. zw. *Rahmengesetz* ustanawia ramy, które wypełnić treścią mają sejmy siedmnastu krajów koronnych. Tak np. prawo mówi, że w każdym okręgu sądowym tworzą się towarzystwa rolnicze, które łączą się w jedno stowarzyszenie ogólno - krajowe. Lecz sejmy mogą podzielić towarzystwa na oddziały mniejsze, np. podług parafij, co też wiele zapewne uczyni, aby ułatwić księżom wpływ na nowe organizacye; mogą utworzyć w jednym kraju dwa towarzystwa ogólne podług narodowości; parlament wyraził nawet życzenie, aby się tego trzymały mogą pewne części kraju czasowo wyłączyć zupełnie od organizacyi. Prawo mówi, że do towarzystwa mają należeć wszyscy właściciele, względnie posiadacze i dzierżawcy; ale sejmy mogą oznaczyć minimum posiadłości, poniżej którego organizacya nie sięga, oraz upoważnić wielkich właścicieli ponad pewną granicą do tworzenia osobnych towarzystw; jeśli zaś wielcy właściciele, którzy we wszystkich sejmach rej wodzą, będą woleli, to mogą należeć do towarzystw parafialnych, i mieć tam prawo wyborcze, choć do gminy politycznej nie należą. Wreszcie sejmy ustanawiają całą konstytucyę towarzystw: kto ma prawo głosu na zgromadzeniach, kto ma i jakie prawo wyborcze, kto jest wybieralny do zarządów itd.

Można sobie wyobrazić, jaką treścią sejmy wypełnią te ramy. Towarzystwa, które przy odpowiednich warunkach, w społeczeństwie zdemokratyzowanem, mogłyby mieć doniosłą rolę kulturalną i prowadzić stopniowo rolnictwo do wyższych form zrzeszenia gospodarczego, staną się poprostu jednem więcej narzędziem w rękach magnatów i duchowieństwa. Drobna garstka lewicy, złożona z jedynego „socyal-polityka," dr. Ofnera, i demokratów społecznych, która sama jedna mąciła panującą na tym punkcie w parlamencie wiedeńskim jednomyślność, usiłowała, nie zwalczając w zasadzie samego projektu organizacyi, zbliżyć ją do wymagań kulturalnych, ale nadaremnie. Posłowie tej grupy domagali się wciągnięcia wszystkich właścicieli, choćby najdrobniejszych, na równi z największymi do towarzystw, ale jednocześnie zaprowadzenia w towarzystwach zupełnej równości praw, głosowania powszechnego i równego. Dalej, powołując się na frazesy agraryuszów o jedności interesów, o solidarności całej ludności rolniczej, żądali, aby najemnicy wiejscy otrzymali też osobną obowiązkową organizacyę; wszak w cechach miejskich „pomocnicy," „czeladź," mają też swą organizacyę, swe zarządy, i są stroną równouprawnioną w układach z pracodawcami. Żądania te, zarówno jak żądania zniesienia przestarzałej ustawy służbowej oraz zastosowania ubezpieczenia od wypadków przy pracy do robotników wiejskich, zostały z szyderstwem odrzucone przez wszystkie stronnictwa, zarówno szlacheckie jak i chłopskie. Towarzystwa więc, jako organizacye pracodawców, zmuszające ich do solidarności, upoważniające ich do regulowania warunków najmu, do ustanowienia sądów „polubownych" (bez reprezentacyi drugiej strony!) mogą mieć dla najemników wiejskich najgroźniejsze następstwa...

Jaki użytek zrobi sejm galicyjski z poruczonych mu praw w tym względzie? Raport rządowy z r. 1896 przypomina, że właściwie towarzystwo rolnicze krakowskie pierwsze, bo już w r. 1879, rzuciło myśl organizacyi obowiązkowej, która teraz staje się ciałem. Projekt Falkenhayna z r. 1893 przyjęty też został przychylnie

przez szlachtę zachodnio-galicyjską; natomiast wschodnio-galicyjska uznała wszelką organizacyę za przedwczesną... W r. 1898 sejm galicyjski odrzucił podobny projekt ludowca Wójcika. Sądząc z mowy członka Koła polskiego w parlamencie, hr. Szeptyckiego, można przypuszczać, że przedewszystkiem sejm wogóle z utworzeniem towarzystw obowiązkowych nie będzie się śpieszył. Skoro zaś już do tego przystąpi, to z pewnością nie dopuści podziału na sekcye narodowościowe, polską i rusińską, a może wykluczy zupełnie drobną własność chłopską. Byłoby to ostatecznie dla ludu już lepiej, niż żeby nominalnie miał należeć do towarzystw, opłacać dodatki do podatków, które, choćby najmniejsze, byłyby dotkliwemi przy jego biedzie, a zarazem dzięki jakiejś mądrej ordynacyi wyborczej, — być wykluczonym od wszelkiego wpływu. Ma Galicya kółka rolnicze dobrowolne, które rozwijają się nieźle, są przynajmniej rzeczywiście ludowemi, i nie zawierają takich niebezpieczeństw, jak towarzystwa obowiązkowe.

K. Krauz.

NA MARGINESIE.

— P. L. Simonde, członek kolegium Pasteura, ogłosił ciekawą pracę o dżumie. Poprzedza ją krótki szkic historyczny zarazy, z którego dowiadujemy się, że grasowała już ona w czasie wojen Hebrajczyków z Filistynami. Należy przypuszczać, iż pojawiała się i wcześniej, lecz powyższa wzmianka o niej w Biblii, zdaje się być pierwszą. Na cztery wieki przed Narod. Chrys. spustoszyła Ateny. W III, II i I wiekach przed Chryst. nie ustawała prawie na Wschodzie, w Egipcie, Libii i Syryi. W Galii wybucha poraz pierwszy w 166 r. za panowania Marka Aureliusza. W VI w. z Turcyi dostaje się do Włoch i Francyi. Biskup Turski Grzegorz zostawił opis tej okropnej klęski. Od tego czasu dżuma nie opuszcza Europy; niema stulecia, żeby nie wybuchła gdziekolwiek. Najstraszniejszy mór nawiedził Europę w XIV w.; z Chin dostał się przez Indye i Persyę do Krymu. W 1347 r. Tatarzy oblegli Kaffę, dokąd schronili się kupcy włoscy z resztą niezgnębionych jeszcze chrześcian. Wśród oblegających dżuma niezmierne czyniła spustoszenia; rozgniewani oporem, postanowili zaszczepić chorobę zamkniętym w warowni przeciwnikom. W tym celu za pomocą maszyn wojennych wrzucali trupy zadżumionych do miasta. Choroba wybuchła wśród chrześcian i zmusiła ich do ucieczki. Wsiedli na okręty, ale zarazę zabrali ze sobą i przenieśli ją do Konstantynopola, Messyny, Wenecyi, Genui i Marsylii. 25 milionów ludzi zginęło wówczas w Europie (czwarta część ludności). I znowu w każdem stuleciu zjawia się w rozmaitych państwach Europy aż do 1726 roku, kiedy wybucha po raz ostatni. Wzrost dobrobytu i środki sanitarne kładą tamę pojedynczym ale nieustannym jej odwiedzinom. Lecz cały ten czas grasuje ona ze straszną niekiedy siłą w Marroco, w Algierze, Tunisie, Egipcie, Arabii, Persyi, Afganistanie, Turkestanie, a szczególnie w Indyach i Chinach. W 1894 roku dostaje się do Hongkongu, a stamtąd na okrętach rozchodzi się na wszystkie strony świata, odwiedza nawet po raz pierwszy Amerykę. W 1899 r. pojawia się w Oporto; 1900 — w Glasgowie i Kronsztadzie. W 1894 roku dr. Iersen, uczeń Pasteura, oraz japoński bakteryolog Kitazamo pracowali w czasie dżumy w Hongkongu nad określeniem charakteru tej choroby. Pierwszemu udało się wykryć cocco-bacillusa zarazy. Wzorując się na szczepieniu surowicy, antydyfterytycznej zaczęto w miejscowościach zagrożonych szczepić surowicę przeciwdżumową. Dr. Simonde z powodzeniem stosował ten środek w Indyach Iersen — w Chinach; Calmett i Salimbeni — w Oporto. Śmiertelność z 90% spadła do 15% chorych. Zarazek dżumy doskonale przechowuje się w ciemności, wilgoci i nizkiej temperaturze. W wysokiej temperaturze (60°) i na słońcu szybko umiera. Zarażenie następuje przez dotknięcie trupa albo wydzielin zadżumionych. Chodzenie boso ludności w miejscowościach zarażonych również potęguje szerzenie się choroby. Ale głównymi przewodnikami jej są pasorzyty: pchły i pluskwy. Cały szereg obserwacyi i doświadczeń przekonał, że nawet wśród szczurów szerzy się dżuma za pośrednictwem pasorzytów. Robactwo, przechodząc na ludzi oraz zwierzęta, przenosi zarazę. W 1897 roku w okolicach m. Rardwara dżuma grasowała wśród dzikich małp, w 1898 roku w Korrechi wyginęły od dżumy wiewiórki i szczury palmowe (sciurus palmarum). Ale badania geograficzne obszarów nawiedzanych szczególnie przez dżumę oraz dróg zwykłych epidemij doprowadziły do odkrycia, że źródłem jej i niegasnącem ogniskiem są pewne miejscowości, szczególnie w Tybecie, w Himalajach i na płaskowyżynie dawnej Assyryi. Badacze rosyjscy wspominają o Mongolii. W tych miejscowościach dżuma jako „ezootia" panuje z mniejszą lub większą siłą wśród gryzoniów, mianowicie wśród pewnej odmiany bobaków (Arctomys bobac). One zaś szerzą zarazę wśród myszy i szczurów, które w sprzyjających okolicznościach roznoszą ją po całym świecie.

Najlepszymi środkami przeciwdżumowymi są: słońce, czystość oraz środki niszczące robactwo domowe. Należy wystrzegać się zwierząt domowych, brudnej bielizny, dywanów, starej odzieży, sprzedawanej na rynkach... Ale głównie należy starać się, aby dobrobyt, przyzwyczajenie do czystości i porządku stało się udziałem całego naszego otoczenia, całego narodu. Pcheł i pluskiew nie wstrzymają żadne kordony.*) Najlepszym środkiem dezynfekcyjnym okazał się dwutlenek siarki (SO_2). Amerykanin Clayton wynalazł przyrząd, za pomocą którego można zdezynfekować cały okręt z towarami. Giną od dwutlenku siarki nietylko szczury ale i pchły, pluskwy, nawet mikroby (dżumy, żółtej febry, róży, gorączki połogowej, tuberkuł i inne). Szczury wychodzą ze swych dziur i wdzierają się na paki towarów, szukając powietrza. Towary przy umiejętnem użyciu aparatu nie psują się, herbata i kawa nie tracą zapachu i smaku. Aparat Claytona wchodzi w powszechne użycie; co dwa tygodnie okręt w czasie podróży zostaje częściowo zdezynfekowany. Aparaty te służą również do szybkiego tłumienia pożarów a towarzystwa ubezpieczeń od ognia opuszczają o 33% polisę dla zaopatrzonych weń okrętów.

*) Obserwacye dr. Tiktina w Odesie dowiodły, że do najenergiczniejszych szerzycieli tyfusu powrotnego w szpitalach i więzieniach należą pasorzyty ludzkie. Pewnie ospa, szkarlatyna, dyfteryt i inne choroby posługują się niemi nietylko w szpitalach i więzieniach.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Wilnie rozpoczęło działalność Towarzystwo opieki nad dziećmi potrzebującemi pomocy.

— Czasopisma polskie, wychodzące w Ameryce, zebrały na ofiary wrzesińskie 3,313 dolarów.

— Według obliczenia niedawno dokonanego spisu ludności, Londyn posiada 4,536,541 mieszkańców, w tem 135,377 cudzoziemców.

Pamiątki. *Warsz. Dn.* donosi, iż zarządzający dobrami państwa w gub. Radomskiej i adwokat A. Płoski w Kielcach zgromadzili dane historyczne o słynnym zamku w Bodzentynie i wraz z planami miejscowości i zdjęciami fotograficznemi ruin z okresu lat 1851—1900 przedstawili ministrowi rolnictwa i dóbr państwa. Obecnie, wskutek powyższych starań wydane zostało Najwyższe zezwolenie na oddanie ruin zamku wraz z gruntami do niego należącymi pod zarząd Cesarskiej komisyi archeologicznej.

Rozporządzenia urzędowe. *Krymskij Wiestnik* ogłosił następujące rozporządzenie gubernatora, obowiązujące wszystkich mieszkańców gub. Taurydzkiej: „Zabrania się urządzania zebrań, tłumnego gromadzenia się i zatrzymywania na ulicach, placach i chodnikach. Publiczność na żądanie policyi winna rozejść się niezwłocznie. Najsurowiej zabrania się każdemu, bez względu na stanowisko, stan lub stopień zasługi wtrącanie się do czynności policyi i krytykowanie jej. Żądanie policyi każdy obowiązany jest udać się do biura policyjnego dla dania wyjaśnień lub spisania protokółu. Podczas widowisk teatralnych lub po ich ukończeniu nie wolno okazywać oklaskami swego uznania artystom."

Szkoły. Wobec wprowadzenia wykładów przyrodoznawstwa w szkołach średnich i wobec braku odpowiednio wykształconych w tym przedmiocie nauczycieli, kurator warszawskiego okręgu naukowego polecił radom pedagogicznym powołać tymczasowo do wykładu nauk przyrodniczych w klasach niższych nauczycieli szkół miejskich, którzy studyowali ten przedmiot w instytutach nauczycielskich.

— Do wykładu języków starożytnych w szkołach średnich polecono zapraszać kobiety odpowiednio uzdolnione.

— W niektórych warszawskich gimnazyach męskich mają być wprowadzone lekcye tańca.

Ruch kobiecy. Z powodu zbliżających się wyborów do krakowskiej rady miejskiej, p. Bujwidowa wygłosiła w „Czytelni dla kobiet" odczyt o prawie wybieralności kobiet do wszelkich ciał reprezentacyjnych.

Jubileusze. Setną rocznicę urodzin Bohdana Zaleskiego obchodzić będzie uroczyście d. 14 lutego Towarzystwo dziennikarzy polskich w Lwowie.

— D. 26 lutego Paryż obchodzić będzie setną rocznicę urodzin Wiktora Hugo. W dniu tym mają odsłonić pomnik poety. Rada miejska na tę uroczystość przeznaczyła 300,000 fr.

Oświata. W końcu zeszłego miesiąca odbyło się w Wiedniu walne zebranie delegatów wszystkich Towarzystw polskich w celu utworzenia w stolicy Austryi filii krakowskiego Towarzystwa uniwersytetu ludowego im. Mickiewicza. Uchwalono przystąpienie do założenia tej instytucyi oraz gorliwe popieranie całej sprawy.

Z uniwersytetów. Prof. Stanisław Dobrzycki objął we Fryburgu katedrę literatury polskiej. Wykłady odbywać się będą w języku polskim trzy razy tygodniowo. Stanowisko to zajmował poprzednio dr. Kallenbach.

Hakata. Wielcy fabrykanci w prowincyi Hessen von Nassau postanowili jednogłośnie, na zebraniu w Cassel, wydalić z fabryk wszystkich robotników polskich i czeskich.

Dla kobiet. W Wilnie powstał projekt założenia szkoły handlowej wyłącznie dla kobiet.

— W Moskwie rozpoczęła działalność Kasa wzajemnej pomocy kobiet. Zamierzono ustanowić posagi od 200 do 3,000 rubli, przy składkach umiarkowanych.

— Moskiewskie Towarzystwo rolnicze otwiera kursy rolniczo-gospodarskie dla kobiet.

Żydzi. Z postanowienia władzy Żydzi, przyjmujący ktorekolwiek z wyznań chrześciańskich, nie zyskują prawa zamieszkiwania w zabronionych im miejscowościach państwa rosyjskiego. Zmienić wyznanie mogą w Cesarstwie tylko za zezwoleniem ministeryum, w Królestwie Polskiem — za pozwoleniem odpowiedniego konsystorza.

Prasa. Od kwietnia r. b. pod kierunkiem Zenona Pietkiewicza zacznie wychodzić miesięcznik społeczno-ekonomiczny p. t. *Przegląd polski przemysłu, handlu i rolnictwa.*

Wysyłanie książek. Naczelnik warszawskiego okręgu celnego zawiadomił komory celne w Aleksandrowie, Mławie i Grajewie, że nadsyłane z zagranicy książki, wydawnictwa i wszelkie druki mają być skierowywane z komór pogranicznych wyłącznie do Warszawy na stacyę miejską. Ponieważ przed odesłaniem książek i innych druków do komitetu cenzury od właścicieli pobierana jest opłata celna i kolejowa, jak również wydatki za przesyłkę do cenzury, warszawska stacya miejska będzie dokonywać obrachunków bezpośrednio z kolejami, pobierając z góry pieniądze za przewóz i opłatę na rzecz stacyi. Opłatę za dostawę tych przesyłek ze stacyj kolejowych do komitetu

cenzury stacya miejska ustanowiła na 5 kop. od puda, lecz nie mniej, niż 50 kop. za każdą posyłkę. Dublikaty mogą pozostawać w ręku właścicieli, w celu odebrania posyłek po przejrzeniu w komitecie cenzury. Powyższy regulamin polecono na komorach celnych wprowadzić niezwłocznie w wykonanie.

— Warszawski kantor pocztowy otrzymał z głównego zarządu poczty i telegrafu rozporządzenie, aby przy wysyłaniu książek i druków do Francyi, w załączanych deklaracyach celnych bezwarunkowo było wymienione, w jakim języku książki są drukowane.

Koleje i komunikacye. Otworzono ruch pociągów osobowych na kolei wąskotorowej podjazdowej, elektrycznej, na przestrzeni Łódź-Zgierz i Łódź-Pabianice.

— Otworzono ruch prawidłowy na odnodze kolei żelaznej z Aleksandropola do Erywania. Linia ta ułatwi komunikacyę ze Wschodem.

— Zatwierdzone przez ministeryum skarbu podwyższenie taryfy osobowej na daleką odległość, tj. powyżej 3,010 wiorst, wprowadzone będzie od d. 1 maja r. b.

— W r. b. otworzona będzie w Petersburgu, przy głównym zarządzie dróg żelaznych, pierwsza szkoła kolejowa, mająca na celu przygotowywanie niższej służby kolejowej.

— Zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiej postanowił kosztem 50,000 rb. wybudować pod Pruszkowem szpital dla służby kolejowej.

Przemysł i handel. Dnia 14 b. m. odbędzie się w Petersburgu zjazd przedstawicieli przemysłu metalurgicznego dla obmyślenia sposobów zażegnania obecnego przesilenia w tej gałęzi przemysłu. W zjeździe wezmą udział Belgijczycy, którzy w przedsiebiorstwa rosyjskie włożyli znaczne kapitały.

— W Austryi powstał projekt rządowego zmonopolizowania sprzedaży alkoholu.

Zmarli. Ksawery Pilatti, w Zakopanem: artysta malarz. Żył lat 59.

Walenty Nims, w Poznaniu: pisarz ludowy. W prowincyi saskiej wydawał pismo ludowe p. t. *Górnik*.

— Jan Pożerski, w Suwałkach: nauczyciel języków starożytnych w gimnazyum pińczowskiem. Był wychowańcem Szkoły Głównej, którą opuścił ze stopniem magistra. Pozostawił wiele materyałów do słownika polsko-litewskiego i dobrą pamięć wśród młodzieży, której był przewodnikiem.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Ołtuszewskiemu w Borchowie. Jak najchętniej podejmujemy się zawsze pośrednictwa w załatwianiu różnych drobnych spraw prenumeratorów naszych, dla Szan. Pana nie mieliśmy dotąd ra... bić pod tym względem wyjątku. Dlaczego Sz. Pan ma pretensyę do nas a nie do „Tygodnika Mód"? Nr. 3 wysłaliśmy powtórnie. Pierwszy zginął na poczcie.

Panów Kronlanda, Wosińskiego, Biernackiego zawiadamiamy, żeśmy wysłali powtórnie wszystkie przez pocztę zgubione egzemplarze.

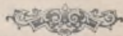
Ruskije Wied. Numery reklamowane powtórnie wysłane. Pierwsze zginęły na poczcie.

Panu Sokołowskiemu w Sieprawkach. Skorzystamy. Dziękujemy.

Panu Feliksowi Piotrowskiemu. Artykułu Pańskiego drukować nie możemy. Dowodzenie jest tylko w części słuszne. Jak Pan sądzi, kto winien zbrodni? nóż, czy ręka, która zabija?

OFIARY.

Na wpis dla studentów — p. E. Sokołowski z Sieprawki rb. 25.



Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Января 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.